

Wiadomości Polskie

LES NOUVELLES
POLONAISES

HEBDOMADAIRE

POLITYCZNE I LITERACKIE
TYGODNIK

ROK I — NR. 8 — PARYŻ,
NIEDZIELA, 5 MAJA 1940

REDAKCJA I ADMINISTRACJA

PARIS,
52, avenue des Champs-Élysées,
app. nr. 376. Tel.: ELY 64-46.
Metro: Marbeuf.

Codzień w g. 10—12 i 15—19.

Konto w Banku Polskiej Kasy
Opieki (23, r. Taitbout) nr. 72.

CENA PRENUMERATY:

We Francji kwart. 35 fr., półrocz. 65 fr., rocz. 125 fr.
(W Paryżu prenumeratę można zamawiać telefonicznie)

Zagranicą kwartalnie: w Anglii 6 s. 6 d., w Belgii — 8 belgów, w Danii, Norwegii i Szwecji — 7 koron, w Holandii — 3 floreny, na Litwie — 6 litów, w Palestynie — 35 piastrow, w Rumunii — 400 lei, w Szwajcarii — 7 fr. szwajcarskich, na Węgrzech — 8 pengő, w Stanach Zjednoczonych i w pozostałych krajach — 1.50 dolara.

KAZIMIERZ WIERZYŃSKI

MODLITWA ZA ZMARŁYCH W WARSZAWIE

Wieczne odpoczywanie
Racz im dać, Panie,
Na Powązkach, na placach, na skwerach,
Pod ruinami domów,
W zasypanych piwnicach,
Tam gdzie kto padł,
Gdzie umierał.

Ofiaruj spokój im zaświatowy
I na mogiły pośpiesz z pomocą,
Bo trzeba było z miejsca na miejsce,
Spod trotuaru pod kamień grobowy
Już uleżałe przenosić głowy
I sen ich naruszać nocą.

Wyróżnij nieznanym i bezimiennym
Światłem, które wieczyste polyska,
Bo cóż im z ludzkiej, doczesnej pamięci,
Kiedy pod krzyżem i hełmem pośnięci
Nie mają nawet nazwiska.

Niech serce twoje ich wynagrodzi
I od najbliższych odejść pomaga,
Bo matkom, co kładły im bandaże na skroni,
Szeptali wargą stygnącą w agonii
Jak miłość i jak zakłęcie:
Mokotów, Praga,
Okęcie.

Odbierz im rany, pozwól zapomnieć
O nocach w męce i dniach bez ratunku,
Bo gdy pod ścianą rozbitych szpitali
Marli bez wody i opatrunku,
Cisza z przedpola zapadła złowroga,
I nie koledzy ich salwą żegnali
Lecz werbel zwycięski wroga.

Spójrz, sprawiedliwy, na dzieło bez miary,
Bo z krwi i z mąk ich, nad miasto, nad gruzi,
Nad niebotyczne, ogromne pożary
Gorzkim rozwiane dymem,
Los nasz się dźwigał wysoko i w burzy
Stoi przed nami olbrzymem.

Spójrz, sprawiedliwy, na dzieło bez miary,
Na wolność, co rośnie z nich nieprzerwanie,
Choć gasła z każdym pospółtu:
Otwórz niebieską przed nimi bramę,
Do wojujących zalicz kościółów,
Zachowaj moc ich i oddaj im, Panie,
Ziemię ojczystą na wieczne władanie.

Amen.

KAZIMIERZ WIERZYŃSKI.

IRENA TUWIM

SEN O DOMU

Tak jak dzieckiem budziłam się w nocy
Krzycząc „Mamo!” między snem a jawą,
Dziś tak samo zrywam się i wołam
W obcą ciemność paryską: „Warszawo!”.

Sen się płacze. Biegnę Alejami.
Tam gdzie ławki stały — rzędem trumny.
Księżyc ptynie nad Łazienkami
I oświeśla kamienny i biały
Romantyczne ruiny, strzaskane kolumny.

Nowym światem idą, skuci. Płyną hymny
„Warszawianki” i „Marsyljanki”.
A na czele pochodu Syrena
Z oczami Szylinzanki.

Sen się gmatwa. Biegnę poomacku
A niepokój serce mi szarpie.
Dom już blisko. Wpadam w Ordynacką
I schodami szybko w dół po Skarpie.

A tam pachnie trawa świeżo skoszona.
W trawie kępy lila macierzanki.
Snieżną bielą i amarantem
Powiewają w oknach firanki.

Stukam do drzwi. We drzwiach matka blada:
Oczy ślepe, wypalone do dna.
„Mamo!” — wołam, Matka odpowiada:
„Niema domu, córko wyrodna!”.

IRENA TUWIM.

KSAWERY PRUSZYŃSKI

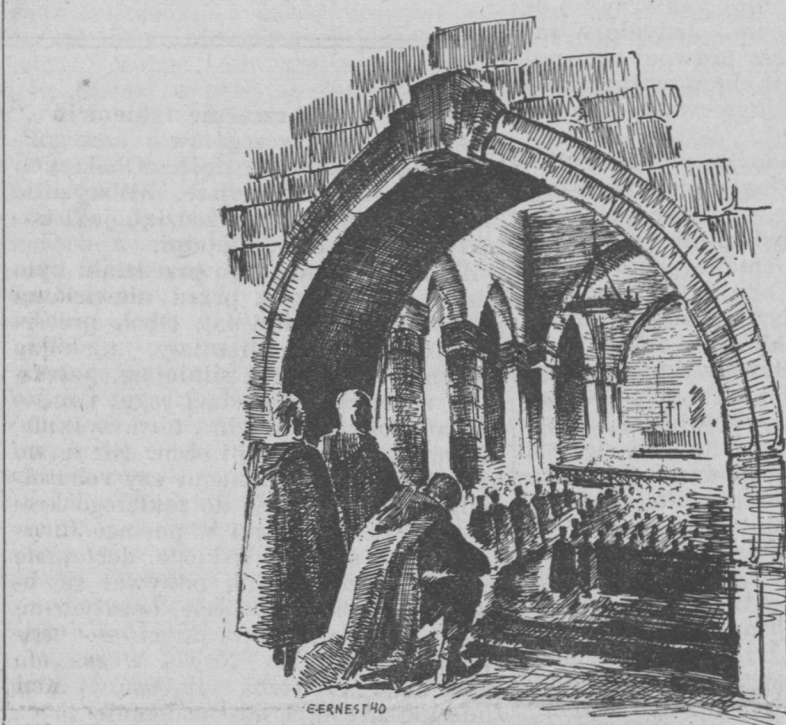
ICH POLSKA WIELKANOC

rysunki Ernesta

Do tego kościoła schodzi się wdół,
po stopniach, i stopnie te są długie
bardzo i wąskie, nierówne i powgniatane
w ziemię jak popsute klawisze, aż
schodząc człowiek stąpa ostrożnie aby
ich nie wgnieść jeszcze bardziej swoim
ciężkim butem żołnierskim. Do kościołów
Krakowa tak samo schodziło się po stopniach,
były tak samo stare, tak samo gotyckie.
Ale tu jest wszystko zupełnie inaczej. Średnio-
wieczne wykelfowało w Polsce skromną
liczbą miast; tu pączkowały one co krok,
jak grzyby, jak pnące. W rezultacie
wiele miast starych zamarło potem,
zaszło na opuszczone miasteczka,
takie jakimi je zostawił wiek XIII, XV,
następne — gdy u nas mniej liczne
rozwijają się nadal, rozszerzając
nowymi dzielnicami, podnosząc
warstwami nowego bruku swoje ulice,
swe place, obstrajając temi warstwami
kościół. Tu garb górski, na którym
obudowało się obronnie miasteczko,
okazał się za szczytu, za chudy, i kościół,
rad nie rad, musiał ustąpić na zbieżce,
ucześć się skarpy, wrócić kłamrą
kamienną w średniowieczne fortyfikacje.
I wreszcie gotyk na naszym wschodzie
rumienieje różowością cegły. Ceglana jest
krakowska «Panna Marja», ceglana wileńska
«Święta Anna». Jest to gotyk okien
wysokich i wąskich, przecinających ściany
jakby szczeliną, jakby pęknięciem, wpu-
szczającem do wnętrza światło ostro-
żnie i oszczędnie, tapetując nawy mrokiem,
skupieniem, czernią. Tu był granit trwały
i szary, i tutejszy gotyk, zachodni,
południowy, prowansalski, rozwiślał swe
rozetowe okna szeroko, bardzo szeroko,
na całą rozwarłość muru, aż ściany
rozsuwały się i kościół składał się jakby
z kamiennych ram i wielkich witrażowych
przestrzeni; szeroko — jak do najbardziej
nowoczesnych wnętrz — wchodził niemi
słońce i światło, pogoda i jasność,
w których kochali się widać ludzie
tutejszego średniowiecza, rodacy
Tomasza z Akwinu, rodacy św. Franciszka.
Można tu było nie pokrywać ścian
polichromją, bo od rana do wieczora
słońce pokrywało je swoją polichromją
poprzedzającą kolorowe szybki witraży,
zawsze inną, nigdy tą samą, zapalającą
się bladymi pastelami w poranne godziny
jutrzni, gorejącą pożarem barw o południu,
płowującą fioletowo i sino na wieczorne,
ściszone «ave». I ten kościół o oknach z
granitowej koronki posiadał naraz niepraw-
dopodobnie teatralnej dekoracji: tak
widzi się klasztor Monsalvatu, sanktuarja
legendarne Graala, tak mogłaby wyglądać
mityczna katedra mitycznego króla Artura,
w takich kościołach, pustych dzisiaj,
toczyli się przed wojenną potrzebą
rycerze krzyżowych wypraw. A teraz ten
kościół, w którego głębi patrzmy zgóry,
ze schodów, którego wnętrza widzimy przez
drzwi rozwarłe, przez te przestronne okna,
jest, jak lat temu siedemset, nanowo
pełny zbrojnego luda, który kłęcząc, który
się modli. I płaszcze żołnierskie, bez
rękawów, spływające buro z bark, zakoń-
czone trójkątne kaptury, są właściwie
półmnieisze i półrycerskie, dostrójone do
tego kościoła, średniowiecza, gotyku.
Jakaś nowa wyprawa krzyżowa pachnie
potem i oddechem żołnierskim. Ci, co
mieli odpłynąć do Finlandji, Ci, co odeszli
do pierwszych.

Jest w powietrzu, łagodnym, francuskiem,
rzeźwosć wszystkich wielkanocnych poranków,
ich wiosennosć, ich chłód, ich słoneczność,
ich mrokosć. Ponieważ ten kościół gotycki
wybiegł na skraj obronnego miasta-zamku,
przeło ma za to wzgórze przeciwległe,
pocięte na półkę i ogrody, gdzie
pierwsza zielenie runieje, gdzie ziemia
wzruszona pługiem właśnie poczyną dymić
w słońcu, bielieć pleśnią oparów, pelzających leniwie, świątecznie,
jak dymiały i dymi w tym roku gdzieś
za Przegorzą, gdzieś za Opatowem, i przed
Pyzdrami, i na polu od Łogunowicz. Wiatr,
który się niesie nad te wzgórza, który
marszczy fale spietrzonej u mylna rzeczki
i przewiewa uliczki wąskie, wykuszowe,
jak w Gdańsku, jest to wielki wiatr oceanu,
wiatr dalekich olbrzymich mórz, które do
nas dopływały wąską odnogą, które tu
rozlewają się zewsząd. A jednak w ten
wielkanocny francuski poranek nawet ten
wiatr od Atlantyku nie ma morskiej
słoności oddechu, nie ma oceaniczności
swego pędu, a pachnie jak u nas
tatarakiem, i sasankami jak u nas, i
młodem pakowiem bżów, i nawozem
rozrzuconym widłami po polu, które
ziemią pociętą pachnie. Oczy

otworzyć — i jest gotyk, wojna i Francja.
Oczy zamknąć — i są te zapachy
wiosny polskiej, ta rzeźwosć przedwio-
śniowa, i ściszone słowa z kościoła,
łacińskie, swojskie, i śpiew o owym
dniu wesolym, który dziś nam



nastał, którego z nas każdy żądał, który
naraz swą pogodą ściąga coś w piersiach
skowitem, czemś szarpie w gardle, zacina,
boli... Kiedy, w jaką Wielkanoc, będziemy
śpiewali tę pieśń starą, reyowską jeszcze
i czarnolaską, całą pełnią wzebraną piersi,
całą radością orężnego powrotu?

★

W nawie tej, olbrzymiej, szerokiej,
koncentrowało się kiedyś życie intelektualne
tego feudalnego kantonu

gubiony na dalekim partykularzu prowincji,
starszy niż Wawel, jest nanow kościołom
żołnierskim, kościołom modłów przed
wyprawą daleką, nie wiadomą jak wyprawy
krzyżowe, za morza, za góry, za rzeki,
dalekiego kraju. Tyle że po pacierzach
celtyckich, zagadkowych jak menhiry,
dźwięcznych jak klechdy, po mowie Franków
(która to, jak dziwował się Maćko z
Bogdanca, jest «jakby miedzanymi
misami brzękała») owała się mowa
miększa i wstępnosć, o obcioceniach z Reja,
o wygładzeniach z księ-



średniowiecznej, federacyjnej Europy. Z
ech tej katalizacji padały wielkie idee
kluniackie, tomistyczne, trydenckie
jeszcze, te, które mi wstrząsały światem
intelektualny ówczesny, głęboko intelektualny
Europy i Grzegorz VII i św. Dominik i
Franciszek z Asyżu, w tej nawie odbywały
się pasje i misterja, które były dla
wielkich średnich tem czem dramatem
Sofoklesa dla obywateli Aten, czem
teatr dla XIX wieku, czem film mógłby
być dla nas, gdybyśmy mieli czem
zapłodnić, w tej nawie ludzie odnawiali
się kaianiem, podnosili rozmyślaniem,
pocieszali modlitwą. (Jakim wielkim
centrum był kiedyś kościół, jak wiele
urabiał i wychowywał, jeśli dziś
jeszcze w Polsce nawet mowy politycznej
mają stylizację kazań, szkoda że
lichych kazań). Ale potem ten strumień
ludzki odpłynął, pociekł odnogami w
różne kierunki. Życie, jakie tu się
zagrzużało, odbiegło, wyszło. Nawa,
granitowa, stawała na tysiąclecia,
stała się pustą, nawiedzana przez
staruchów, wlokących się koślavo,
kwękających bezelnie, przez blade
dzieci o głoskach słabych, które nie
miały siły do zapalenia wielkiego
echa nawy, wykłej do ciżby
ludzkiej, dość silnej na komendy
żołnierskie. Nie. Takie kościoły
nie były stawiane dla starców z
przysłutku, dla dzieci z przedszkola,
tak samo jak nasze drewniane
kościółki Beskidów nie były dla
czarnych panów z miasta, ale dla go-

dzia Wujka, o dębom, słowiańskim
pięknem «Bogurodzicy».

★

W kafejkach i bistrach ci sami
żołnierze nie różnili się niczem od
Francuzów, jak nie różnili się od nich
kiedy pod Lens, w Montceau-les-Mines,
gdzieś «dans le Nord», spuszcza-
li się w sztolnie kopalin, wlewali się
przed widem kopyła na podwórza
fabryczne. Tak samo wdziewali berety i
kaszkiety, tak samo spijali aperitif, tak
samo mówili, tak samo się ruszali,
tak samo myśleli. Kraj polski, wyniszczony
wojnami jak żaden inny w Europie,
mający przyrost ludności tak silny
jak żaden inny w Europie, ubogi
w kapitał, i cudzy i własny, jak żaden
inny kraj, któremu nie chcieli
pożyczać ci zachodni, światowi bogacze,
pchający miliardowe pożyczki w
gardło niemieckie, nie miał dla nich
pracy, ni chleba. Był źle zorganizowany,
prawda, był źle prowadzony,
prawda. Nie zrobił tego co mógłby
zrobić, choćby to nawet było niewiele,
choćby nie mogło wystarczyć. Przeto
ta masa półmilionowa wsiąkała
z wolna w kraj, który dał jej pracę,
choćby ciężką, ale i chleb dostatni;
w którym stosunek władzy do człowieka
dawno już stracił obyczaj pańszczyzny.
Wspomnienie o kraju wycierało się z
pamięci ludzi, było gorzkie, głodne,
ponure. A jednak człowiek nie wrasta

jednym pokoleniem w cudzy, inny kraj;
człowiek tylko traci swój własny.
Niema emigranta, któryby szedł do
Ameryki dlatego, że u siebie ma
chleba w nadmiarze, niema emigranta,
któryby do swej dawnej ojczyzny nie
czuł zrozumiałego żalu, że odeszł
musiał, że dla niego nie było w niej
miejsc. Ale za człowiekiem pierwszego
pokolenia wloką się jednak ciagoty,
jakis zapamiętany widok wierzby
przysiadłych nad rzeczką, przy łące
skąpej, jakis Pogonbin poznański,
górką za Miechowem, las, bydło,
ludzie, matka, cmentarz. I naraz
tamten kraj staje się nędzniejszy
niż najędzniejszy, staje się sam
emigrantem. Jak emigrant, nie ma
pół, nie ma domów, nie ma niczego,
bo wszystko potrzaskano mu
bombami lotniczymi, spalono, zabrano.
Emigrant czyta w obecnej prasie
jak dzieci w wieku jego dzieci
marzną na śmierć w wagonach
wyrzucanych z kordon Reichu,
jak wysiedla się wieś znad Gopla i
Nakla, jak rozstrzeluje się
sełkami robotników w Skarżysku,
jak «Messerschmitt», zniżając się
na sto metrów, kosyły z karabinów
maszynowych dziewczyny kopiące
kartofle w polu, krowy pasione na
łacie, jak z rozprutych poduch
uciekających we wrześnie sypało się na
drogi pierze, pochłapane krwią. Te
dzieci, ci robotnicy, te krowy i
dziewczyny, kopiące kartofle, ta
bezdomność i tułaczka, i wyrzucenie na
bruk, to wszystko przemawia do
jego pojęć, bo wszystko to Polska mu
bliska, do zrozumienia nie trudna,
Polska której był częścią, niedoła
jego podobna niedoła. To jest jego.
I naraz taki emigrant, o Polsce
ambasadorów, ziemian, urzędników
za okienkiem, policji, nie wie
dzieć nie chcąc, poczyną szukać
czy na liście wsi spalonych jest jego
wieś, czy na liście spalonych domów
jest jego ruderą z dawnej Czerniakowskiej,
czy wśród tych Majchrzaków,
Nowaków, Zgółów, Kowalskich,
niema kogoś co mógłby, przez kumów,
przez pociotków, być mu bliski...
Cóż to za bliskość — powie ktoś
rozsądny; nie pisał do tych
Majchrzaków, nie pisał gdzieś
gdzie są, słabo ich pamiętał. Może
i nie znał. A właśnie: — w
tym wszystkim, że naraz ci
nieznani, zmaterializowani
konkretnym nazwiskiem stali mu
blisko, że los ich, dawniej mu
obojętny, teraz go nęka, teraz mu
dolega, że się o to głowi i
turbuje, mówi o tem, myśli. Myśli o tym
Władysławie w powiecie
miechowskim; tam bitwy były.
Więć czy spalona? Rabowali
może? Dwór tam był, gumna
muli ogotocić, było po
żniwach. A Słowicki czy żyje?
A Kłoce? A u Wasilewskich,
od Szczepanowic? I myśli, że
tu turbuje się o Słowickich, że
chodzi mu o Władysław. On już
poprzez konkretnego człowieka,
myśli o całym narodziu, poprzez
wieś, myśli o kraju. Myśli, która
go zaczęła dręczyć, jak
draży człowieka ból zęba, nie
zatrzymuje się już nigdy.
Dodaży się w nim do podglebnej,
przyrodzonej polskości. Dodaży.

Dodaży się teraz tym wielkanocnym
porankiem, tą mszą, którą polski
kapłan śpiewa tamtym naszym
akcentem, tą pieśnią wiejską,
starą, polską, śpiewaną
jeszcze na emigracji przez
rodziców, temi wielkanocnymi
palmaniami, święconem —
całą przeszłością wielu, wielu
pokoleń przeszłości, gdy ani
tu nie stał ten kościół, ani u
nas Wawel, kiedy tam byli
Słowianie, tu Celtowie, kiedy
tu stawiano menhiry, wpatrz-
ne w morze, tam u nas
czczono Marzannę i Swantewitę
na Rugji. Kościół tylko
odrzuć to przeszłość
pogańską narodu, święta
pobłogosławił, przyjął,
przekazuje. W wielkim
biciu dzwonów, które na
koniec mszy aż wstrząsa
ją witrażami, w zapachu
kadzidła z kościoła, wiosny,
z pół runiętych, w słońcu
dnia, wychodzą to przed
kościół, stają u stóp
kamiennej Madonny,
ciosanej grubo i naiwnej
jak nasze śląskie
świętki. Mają twarze
przemienione w
wzruszenie świąteczne,
radosne. Jak u nas. I
twarze ich są nasze. W
tym kościele gotyckim
misterjów średniowiecza
jakby się nowe odegrało
misterjum. Nie misterjum
odegrane: — cud. Jest
coś tak jakby w ową
Wielkanoc wojenną, która
tam w Polsce od za-
łożenia Wielkiego
Piątku się dziś nie różni,
tu przecież coś odwa-
lało grobowe pieczęcie,
coś odrzuciło postawione
stráže i dokonywało w
radosnej, odświe-
żonej ciszy swego
narodowego zmartwych-
wstania.

KSAWERY PRUSZYŃSKI.

JAN LECHOŃ

O polskiej literaturze dramatycznej*)

Poezja polska, tak górująca nad innymi rodzajami pisarstwa, zawiera w sobie kilka arcydzieł, które będąc jej kłębem, stanowią zarazem o niezwykłym wzniesieniu się innej dziedziny naszej sztuki, dziedziny, której wspinały w ostatnim wieku rozkwit szczególnie zaświadczył o naszej kulturze i wśród obcych przyczynił się do jej rozwoju. Wszyscy najwięksi nasi poeci pisali, jeśli nie dla teatru, to przecież w formie dramatycznej, i każdy z nich w tej formie stworzył arcydzieła; można też prawie powiedzieć, że po za «Panem Tadeuszem» wszystko co największe w naszej poezji jest poezją dramatyczną: więc «Dziady», «Zemsta», «Nie-boska», «Fantazy», «Samuel Zborowski», «Wesele». Nic też dziwnego, że teatr w naszej sztuce ma tak wielkie znaczenie i tyle ważył w naszym życiu.

Jego niezwykłość — jest już w tem, że większość tych arcydzieł, «Dziady», «Nie-boska», «Samuel», powstawały bez żadnej nadziei, by kiedykolwiek teatr mógł ubrać w jakąś rzeczywistość ich kształty tak sprzeczne, bogate, nieraz zwiewne i mgliste, nieraz będące jakby grą kolorów, światła i półcieni. I o toż okazało się, że to co było trudnością nie do pokonania sto lat temu — dziś stało się źródłem rozkwitu, odrębności naszego teatru, zgody sceny z poezją, owa nie do wyrażenia przed stu laty poezja dramatyczna stała się podstawą teatru najbardziej nowoczesnego, istotną i trwałą racją jego bytu. Jeżeli też najwięksi w świecie reżyserzy nieraz moźnolnie szukali tekstów, któreby pozwoliły swobodnie snuć się ich fantazji, przechodząc najspreszczeniejsze gamy nastrojów, utworów, któreby dały nie tylko wyrażać się słowem, ale też objaśniać przez kolor i światło, jeżeli nieraz chcą wyżyć te fantazje, wcielają ją w utwory, będące tylko zamykającą formą — teatr polski wciąż będzie musiał wznosić się do swego repertuaru i tyle już wysnuwszy z niego poezji, wciąż ma w nim źródło koloru, światła i dźwięku, świat tajemnic, któremu najśmielsze pomysły reżyserów nie zrównają i którego nie wyzerpią najpysniejsze inscenizacje. Nic też dziwnego, że teatr ten, który próbował odtworzyć dla swych czysto teatralnych zamiarów niektórych nowych obcych autorów, jak Hasenclever i Kaiser, rychło przekonał się, że może w ten sposób poruszyć jedynie nasze nerwy, i zwrócił się po ową teatralną nowość tam gdzie ona była naprawdę, do wielkiej naszej poezji, dając nowe wizerunki naszych romantyków i pierwsze wcielenia innych dzieł, jak «Róża» i «Kniaź Patiomkin», mianych dotychczas za dramaty książkowe.

Jeżeli nasz wielki teatr poetycki tak korzysta z owej wspaniałej maszynierki, w której uzbijona jest nowa sztuka sceniczna, jeżeli tak potrzebuje owej nierealności — najważniejszą przyczyną jest tu jego wyjątkowy charakter, fakt że jest on najpotężniejszym bodaj w literaturze świata teatrem duchów, że akcja «Dziadów», «Wesela», «Nocy listopadowej», «Wyzwolenia», gra się między żywymi i duchami, a akcja «Samuela» i «Akropolis» pośród samych duchów. Nie jest to oczywiście żadna nowość w poezji — wiara w duchy, ich udział w losach bohaterów — «Hamlet» przecież zaczyna się od wręcz poufalej rozmowy ducha z żywymi, i właśnie ów duch jest najważniejszym aktorem sztuki, decydującym o losie Hamleta, tak samo duch Banka w «Makbecie», tak samo duch Cezara, zapowiadający Brutusowi, że spotka go pod Filippiami. Ale w poezji polskiej ta wiara, to obcowanie z duchami jest podstawą akcji, jej treścią, źródłem formy; w «Weselu», w «Dziadach», co dopiero mówić o «Samuelu», schodzą się ze wszystkich krańców zaświata duchy czyste i piekielne, dusze czyste, dusze nieczyste, poezja dramatyczna zdaje się być odpowiedzią na boską ironię Gustawa: «Jako? Wiele nam duchów, ten świat jest bez duszy?», odpowiedzią ukrytą nie tylko w kantorku Xiedza, ale i w słonie bronowickiego Chłoda i wśród ruin teatru na wyspie w Łazienkach. Aby pojąć, że ta wiara nie jest tylko poetycką metaforą, że była ona spójnieniem na świat Mickiewicza, Słowackiego i Wyspiańskiego — trzeba sobie przypomnieć iż «Dziady» i «Wesele», z których czas uczynił sztuki historyczne a historia literatury dzieła historyczne, były to dla ich twórców przedwzrostkiem sztuki współczesne: III część «Dziadów», była to sztuka o Nowosilowie, o rektorze Pelikanie, o profesorze Bécu, o Zanie i Janie Sobolewskim, «Wesele», była to komedia satyryczna, tak bardzo na rzeczywistość oparta, że Wyspiański ledwo zgodził się skreślić z afisza poprzednio położone na nim prawdziwe nazwiska Rudolfa Starzewskiego, Tetmajerów i Rydla.

Ze w «Weselu» zjawiają się w drugim akcie duchy — jest to tak samo niezwykłe i tak samo o istnieniu duchów świadczące, jak owa chwila w «Czarodziejkiej górze» Thomasa Mānna, kiedy to ukazuje się duch Joachima, wywołany przez ulubioną jego melodię «Pożeganie Walentego» z «Fausta», scena tem wstrząsająca że-

śmy nie myśleli, iż w tej powieści tak współczesnej, tak naukowej, tak obznajmionej z medycyną i filozofią — może zająć coś tak nadzmysłowego, jak przyjęcie ducha.

Życie polskie w niewoli, która nie dawała wyrazić się tyłu uczuciom, stać się tyłu czynom, kiedy to tyle pytań było do zadania umarłym, tyle krwawych do rżenia umiartym, kiedy umarli tak chcieli mówić do żywych, zakłaniać ich, karcąc i przestrzegać, kiedy wspomnienia ważniejsze były od prawdziwych zdarzeń a życie tak wciąż bliskie śmierci — owa niewola nasza stworzyła świat przywidzeń, zjaw i marzeń, w którym Polska trwała bezcielesna, ale obecna w myślach wszystkich i przychodziła do nas pod postacią duchów na «Dziady», na bronowickie «Wesele», schodziła z arrasów i z cokołów wawelskich posagów.

Mickiewicz, Słowacki i Wyspiański — byli to zarazem wielcy jasnovidze rzeczywistości i potężne media, przez które łączący się z nami świat duchowy, owa Polska wszechobecna a nie mogąca wcielić się w państwo, Słowacki zdawał się w «Fantazy» kryć pod boskim uśmiechem sekret wszystkich poruszeń ludzkiej duszy, nie nadziemską, ale właśnie ziemską tajemnicę człowieka, i zarazem w «Samuelu Zborowskim» zdawał się nie tylko obcować z duchami, ale przez słowo anielskie, wiążące się prawem sennych zwiędzeń, zdawał się trwać w duchowej oczyźnie, w świecie nadziemskim, świadom wszystkich jego praw i sekretów i niemal ostatecznej tajemnicy. U Mickiewicza to dwa światy znajdują jakby język wspólny. Duchy raz wywołane na literackim cmentarzu i inne duchy, niebacznie wezwane przez Gustawa w jakiejś zwrotnej chwili, najważniejszej chyba w życiu Mickiewicza, a do dziś dnia ani przez biografów, ani przez historyków literatury nam nie ujawnione, weszły między żywych raz na zawsze, są w celi bazylikańskiej, gdzie Jan Sobolewski opowiada o jakże strasznych, ale jakże prawdziwych zdarzeniach, są w panińskim pokoiku Ewy Ankiewiczówny, są w pałacu Senatora, nie wielone, ale obecne w tajemniczych ostrzeżeniach przyrody, w marzeniach sennych, w obdarzonych mocą zabijania przekleństwach. Mickiewicz dawał duchom język ludzki, kształt materialny, jego duchy są to duchy średniowiecza, które tyle wydało świętych i tyle razy kazało diabłu brać na

siebie tragiczną albo groteskową postać. Obie rzeczywistości, faktyczną i duchową, obejmuje on tym samym realizmem, wypowiada tym samym wierszem, pełnym krwi i namietności, jego mowa jak wspaniałe nastrojony instrument, bez załamania się doskonale harmonij, oddaje wszystkie gwały świata i poprzez przestrzenie międzyplanetarne rozmawia z Bogiem. Wyspiański, który pierwszy przysposobił «Dziady» dla teatru, czuł też jak Mickiewicz wszechobecność duchów, astralnym wzrokiem dostrzegał je tam, gdzie inni uczestnicy Rydłowego wesela czuli tylko pustkę i melancholję przepiętej nocy. Jak dla Mickiewicza, to współżycie duchów z żywymi jest dla niego czemś zupełnie zrozumiałym, wiadomo, że za jego wolą duchy w «Weselu» mają chodzić jak żywi między żywymi, i Dziennikarz tak samo nie dziwi się zjawieniu Stańczyka, jak Hamlet nie dziwił się, że duch jego ojca pokazał się na blankach Elsinoru. To obcowanie z duchami, to mieszanie się rzeczywistości i marzenia, owa siła fatalna poezji rządząca duszami polskimi — stworzyła też jedyną bodaj w literaturze świata mitologję, zrodzoną z samej poezji, nie opartą na żadnej legendzie, dała mitologiczne życie postaci, która stała się dla nas prawie rzeczywistością, historyczną, i która znów dzięki poezji snuła swe dalsze, najpewniej jeszcze do dziś nie zakończone życie.

Gustaw-Konrad nie jest tylko bohaterem dramatu, jak Hamlet czy Prospero, ani nawet jak Faust, którego los zdaje się być w II części wypełniony do reszty. Jest to napewno romantyczny Mickiewicz z portretu Wańkowicza, przetwarzający się w Mickiewicza z kłiem pielgrzymim w ręku. Ale podczas kiedy ziemski Mickiewicz doszedł swego kresu, wszystkie jego tajemnice, wszystkie pytania, które stawiał Bogu i życiu, wszystkie jego niewyżęte pasje i liczniej, niż się myśli, hieroglify jego poezji, wszystkie zagadki naszego losu, przeciwności i ironie polskiej duszy, które on wziął w siebie, połączywszy się z Ojczyzną, cała wielka sprawa poezji i rzeczywistości, szczęścia i poświęcenia, wolności i niewoli — przeżyły go w owym przedziwnym tworze, czyniąc niebytnym dla narodu jego dalsze życie. I oto w sto lat po pojawieniu się w izbie Xiedza z gałęzią choi nową — ta sama osoba zjawia się na scenie teatru krakowskiego w «Wyzwoleniu», zjawia się jak człowiek ży-

wy, noszący w sobie świadomość przeszłości, i witamy go jak kogoś, kto żył naprawdę, którego losy zapisane zostały przez biografów. «Pamiętam», — mówi ten nowy Konrad, — wchodziłem do Xiedza do pustelni, i te słowa poruszają w każdym z nas cały świat wstrząs i wspomnień, jakbyśmy uczestniczyli w tem życiu lub jakby było ono częścią prawdziwej historii polskiej. To że Konrad nie istniał nigdy a jego historia jest mimo to tak dla nas ważna, tak rzeczywista, tak domagająca się dalszego ciągu — jest to jeden z największych triumfów naszej poezji, znak zarazem duchowej jedności i twórczego współżycia narodu, z których na codzień nie zdajemy sobie sprawy. O tej jedności stanowi nie tylko wspólny język, wspólnie podejmowane wysiłki, ale także potrzeba i zdolność tworzenia mitów, zdolność nieodłączna od siły biologicznej narodu, od jego siły twórczej, od jego wyższych przeznaczeń.

Bo nato by jakieś bohaterские życie czy jakaś poetycka legenda stały się mitem — nie wystarczyłaby były one śpiewane przez poetów; muszą one w duszy narodu znaleźć rację i siłę istnienia, moc odradzania się, muszą być potrzebą zbiorowego życia, symbolizować wspólne narodowe instynkty czy tęsknoty. Mit Konrada nie jest oczywiście mitem całego narodu ale — co jest może najrzadsze i jakże doniosłe — znalazł on w ukształconej jego części jednolite uczucie, jego żywotność i świeżość, znalazł współżycie duchowe, czyniące z jego dziełową sprawę wspólną wszystkim, którzy od Mickiewicza podziśdziej uczestniczą w przemianach duszy polskiej i naszego losu.

Uwięziony w nieprzetłumaczalnych czarach wiersza Mickiewicza, w obrazach Wyspiańskiego, pojętych tylko dla Polaków, nigdy nie będzie Konrad znany światu, nigdy świat nie dowie się że geniusz polski stworzył postać cierpiącą potężniej niż Hamlet, kochającą równie jak Faust i równą bodaj Faustowi bezsenności myśli. Nie dowie się też — bo ukryją to przed nim wiersze równie hermetyczne, jak strofy Mallarmégo i Valéry'go — że szczytem tego co nasz nieszczęsny St. Ign. Witkiewicz nazywał «czystą formą», a ksiądz Bremond «la poésie pure», szczytem teatru, którego logiką są nie fakty i kolejność w czasie lub przyczynowość, nie psychologia i mechanizm ludzkich namietności, ale freudowska

logika snu, przypomnień i marzeń, że słowem, teatrem zarazem najbardziej nowoczesnym jako forma, a jako treść zajętem największymi zagadkami ludzkości, jest dramat polski, powstały sto lat temu, kiedy nie istniały jeszcze pojęcia czystej poezji, ani nawet symbolizmu. Nie «Król-Duch», też tak długo uważany za najbardziej własne arcydzieło Słowackiego, ośniewający brylantowymi słowami, lecz przecież wyrozumowany, konsekwentny, najnormalniej epicki — ale «Samuel Zborowski», w którym tajemnica jest akcją, palingeneza — dramatem, w którym duchy cierpią i marzą jak ludzie, ów arcytwór, w którym duch polski, język polski dostąpił jakiejś religijnej sublimacji, — przez sakrament poezji czyste stały się samą duchowością, — jest niewątpliwie szczytem Słowackiego, szczytem zarazem jego natchnienia i odrębności. Ostatnia scena, która znów niesłusznie uchodzi za najwzruszającą, pełna jest teatralnej brawury Słowackiego, jego nadziemskiego «bel canto», jest w niej jakieś kosmiczne, ale przecież pieniaństwo, coś z niebieskiego popisu, to jest koncert niebieski wprawdzie, ale przecież koncert; Słowacki pętyrzu tu niebawale efekty, żonglując swą poufałością z zaświatami — i prztem ta właśnie scena oddzielona jest od zaświata świadomości, wirtuozjeria, adwokacką logiką, tutaj w tej właśnie scenie niebieskiej Słowacki zostaje na ziemi. Zato tam, gdzie mówią Heljon i Heljana, gdzie poprzez zagubione w potopie epoki odzyska się skargą Lucyfera, gdzie placzą Amfitryty, gdzie duch Samuela z głową w ręku przechodzi przez zamkowe sale — tam Słowacki naprawdę łączy się z zaświatem, tam przenosząc się z dna oceanu do polskiego domu jest równie logiczny, jak najwięksi majstrzy trzech jednoci, tam poprzez zamarłą mądrość Kabaty i mistyczne teorje dociera do samej istoty wszechrodzącego chaosu i przeżywa jak dramat miłosny, boski dramat stworzenia. «Samuel Zborowski», mimo że tak nieziemski, dobywający się z przestrzeni międzyplanetarnych, jest jak «Dziady», jak «Wyzwolenie», częścią owej wielkiej rozprawy o wolności, którą jest właściwie cała nasza wielka poezja. Wyraża ona, jak żadna inna, zagadnienia, które zrodziły w Polsce kołaje naszej historii, ale którego ziarno złożone było zawsze na dnie polskiej duszy. Jej dramat — dramat Samuela

Zborowskiego — jest związany nieodłącznie z wielkim dramatem naszej historii, sprawa «Samuela» jest to sprawa «liberum veto», ale podjęta u samej jej podstawy, u owej wrodzonej jednostce lucyferycznej żądy, ażeby «świat ten nic nie mógł bez mnie».

Konrad Mickiewicz jest przewidywaniem tej żądy, jest jakby uspołecznieniem przez chrzest Lucyfera Słowackiego, Konrad Wyspiańskiego jest to znów Lucyfer, który buntuje się przeciw więzom ogółu. Ten wspaniały arcyepicki dramat rozgrywa się w «Dziadach», w «Samuelu» i w «Wyzwoleniu» nie jako poczenie dla narodu, jako lekcja patriotyzmu, ale jako prawdziwy dramat wielkich duchów, którym geniusz dawał poczucie wolności, a które niosły wraz z narodem jarzmo niewoli; dramat ideowy, tak zwykłe artystycznie martwy, tutaj jest najbardziej osobistą sprawą, dramat świętości, patetyczną walką o wolność w sferze ducha, zwyciężającą materialną niewolę. I tak samo «Nie-boska» czerpie swój czar, swój liryzm nieporównany, z tej właśnie sprawy osobistej, z tego że tragedia hr. Henryka był to odzew dramatu, niespełniony przez Krasieńskiego obowiązków. Świadczy «Nie-boska» o szczególnym powołaniu naszej poezji do rozstrzygnięcia spraw między człowiekiem i zbiorowością, powstała ona bowiem kiedy nie tylko że nie było nic innego równego jej w literaturze, ale kiedy nawet życie nie nasuwało poruszonego w niej tematu, i wiemy, że po stu latach życie potwierdziło proroczą dwudziestolecie młodzieńca.

Jeżeli «Nie-boska» słusznie uchodzi w naszej poezji za najwyższe wzniesienie myśli społecznej, to «Fantazy» jest arcydziełem jako miś ironiczna, jako zwycięstwo nad epoką, jako krytycyzm romantyczny, który zniósł się ponad styg czasu i zdołał, zanim to uczyniła potłomność, oddzielić piękno romantycznych wzlotów od romantycznych małostki. Ta komedia jest to w wierszu polskim, opalizującym liryzmem, tęsknotą i ironją, szczyt owego uśmiechniętego romantyzmu, którego największe piękno zamknięte jest w komedii Jacka Musseta i w «Eugeniuszu Onieginie»; tylko że jak w całym teatrze polskim, sprawa własna bohatera ma tutaj za tło sprawę ogólną, która dopiero rysuje wielką perspektywę rozpętą między jeziora włoskim brzegiem a śniegami Sybiru. Słowacki, który teatralne odkrycie «Samuela» zapłacił jakby zakłopotaniem teatrow, co robić z «Mazepą», «Lillą Wenedą» i «Balladyną», czeka właściwie na rewelatora swej istoty, swego stylu. Dziwne to, że stylizacja, która przetwarzała nie zawsze potrzebnie uznany wyraz tytu utworów, nie próbowała nadać teatrowi Słowackiego właściwego mu kształtu, który musi być skąpany w kolorach i światłach, osnuty muzyką, kształtu któryby podkreślał niestandardną subtelność postaci, ich nieziemskosc; jeżeli i gdzie, to w Słowackim powinno się było deformować bohaterów w jakieś linie z Fra Angelica, Greca i Burne Jonesa. I te dopiero postaci na le symbolonji koloru i dźwięku mogłyby mówić nieziemskie wiersze Słowackiego, będące tylko przypomnieniem, tylko marzeniem o rzeczywistości, dopiero ta nierealność czy odmiennność od prawdy mogłaby urealnić Lille Wenedę, tylko jakiś zolbrzymiony, renesansowy przeprze, czy jakiś pełen fałd i draperji barok El Greca uczyniłby z «Beatrici Cenci» to czem ona jest, to znaczy największy poetycki melodramat w naszym teatrze. Słowacki bowiem przedstawia to co często uchodzi za synonim poezji i co jest największą bodaj wobec ogółu jej siłą: poezja jego, tragiczna, mistyczna czy ironiczna, jest zawsze przedwzrostkiem bajki. Moc, którą panował nad paroma pokoleniami, była nie tylko duma której uczył, wiarą którą szerzył, prawdą którą mówił, ale i bajką która snuł od prapoczątku naszego kraju aż do dni kłeski i niewoli, zdających się być przecie tylko beznadziejną rzeczywistością. Ta sama rzeczywistość, która Jan Sobolewski opowiada tak poprostu, aby nie nie urodzić z jej prawdy, stworzyła bajkę Anhellego, mającą nas otulić snem, strzec jak Eloe, naszego snu, «Kordjana», mimo że jest to dramat o współczesnych Słowackiemu wypadkach i ludziach, jest bajką, w której melancholia jest siennego parku, zapach kwiatów z willi włoskiej przejmują nas równie jak śmierć bohatera. «Fantazy» jest bajką ironiczną. «Beatrici Cenci» — bajka straszliwa. «Król-Duch» — bajka mistyczna. I jeżeli Kondradowi z «Wyzwolenia» pojawia się jako wcielenie urzekającego czaru poezji — bronzowy Mickiewicz, równie słusznie pojawiłby się mógł Słowacki, tak zawsze wobec narodu prawdomówny, a otwierający przed nim tak wspaniały świat zdy. Kto też chce zmierzyć granicę naszej poezji dramatycznej, obok księżycowej wojewodziny Amelji, obok Wojewody z krwawej bajki, obok Horsztyńskiego, wysnutego z kłiwego wspomnienia, obok, słowem, postaci Słowackiego tak muzycznych, tak przypominających to jedynie co w rzeczywistości najbardziej ważne lub najpiękniejsze, niech postawi szlachetę fredrowską, a zwłaszcza Czeźnika i Rejenta.

W poezji polskiej nie równe wielkości zamyślu, geniuszem poetyckim, znaczeniem dla narodu, ale równe wyzuciem tego co nie dające się określić jest istotą naszej rasy, naszego ducha, ową właśnie polskością — dwa stoja arcydzieła: «Pan Tadeusz» i «Zemsta».

PAULA LAMOWA

„TEMPO RUBATO”

«Włoska nostalgia» — Hiszpańskie «canto flamenco» — Angielski «it looks far away» — Francuski «ennui» — Polski żal i tęsknota — «Tempo rubato» w muzyce Chop'n'a.

Po dniu niezmaconej pogody i jak w pełni lata, błękitu nieba i ciepła, zapowiadał się wczesny wieczór jako niechybny znak jesieni, skracającej stopniowo i niewzruszalnie godziny promieniowania słoneca. O tej porze, kiedy gdzieś indziej niebo jest ciężkie i oliwiane, a deszcz, słońce i zimno skazują ludzi na ponury humor — we Włoszech oddycha się łatwo i lekko w «duchu» kiedy potęguje urok pól i cyprysów i morza.

Z wyniosłości Fiesole roztaczał się wokoło widok na wzgórza toskańskie i na Arno, opasujące zardzewiały Florencję, jak gdyby chciało odgrodzić ją od innych przeciwnych siedzib z epoki «quattrocento» i «cinquecento», mające swoje historie i zabytki. Nastroj wieczoru podnosiła polifoniczna muzyka dzwonów franciszkańskiego kościoła, która we Włoszech ma swoją najistotniejszą wymowę i jest wyrazem kultu muzycznego narodu dla teatralnych efektów. Z otwartego wnętrza świątyni dochodziły dźwięki organów. Zapalone świece rzucały z prezbiterium migotliwe światło na nawę i ludzi chęcych w zgodzie z Bogiem zakończyć dzień benedykcyj. Atmosfera ciszy przedwieczornej, przerywanej biciem dzwonów, grających daleko w głąb Toskanji, była tak pogodna, jasna i beztrojska, że trudno było nie pozostawić uprzywilejowanym Włochom klimat. Siedziałam na ławce długi, chcąc na odjeździe nasyć się widokiem soczystych barw jesiennego, włoskiego pejzażu i wchłoniąc ostatnie dla mnie powiewy łagodnego wiatru Południa. Z rozmyślań, którym sprzyjało to, przeznaczone do miłych wstrząsów, wyrwało mnie czyjeś śkanie. Na tej samej ławce, w pewnej odległości ode mnie, siedział półnierz, który najwyraźniej płakał. Był młody, tak młody, że twarz jego o niezaprzeczonych rysach romańskiej rasy miała wyraz niemal chłopięcy. Nie wstydził się swoich łez i wcale nie starał się ich ukryć. Zdziwiona, zapytałam o powód płaczu. «La nostalgia, signora» — powiedział cicho. Przeszał płakać, ale był bardzo smutny. Jakto «nostalgia»? Za czem może tęsknić człowiek w swoim kraju? Ożywił się. Włochy są wielkie, ale ojczyzna jest tylko jedna. Kiedy ktoś pochodzi z Neapolu, a los choćby na służbę wojskową rzuci go do Toskanji, to tęsknota za krajem — w moim gestem wskazał wokoło. Marne, cuchnące w lecie Arno, to jedyna woda, którą ludzie widzą, a wzgórza zamykają świat, zaciętniają horyzont. Tu ludzie mówią wolać, z naciśnięciem, szeroka fraza, jak gdyby im krew wcale w żyłach nie pulsowała. Albo pieśni toskańskie? Czy może jest melodia nawet «canzonetta fiorentina» porównać z zawrotnym tempem radosnej tarantelli? Oho! Toskańscy aniby nadążył jej, pulsującą krwią gorącą, słowem i muzyce. «Tarantella napolitana»! Ta pieśń mogła się zrodzić tylko w kraju, gdzie ze szczy-

tu Vomero, nad miastem, ujrzyś isole i penisole, Capri, Sorrento, Ischje i jak okiem sięgnąć na widnokręgu szafirowe morze, morze, morze...

Przerwał słowa wypowiadane z zachwytem, wobec wizji tego, za czem tęsknił. Nie znajdował dość silnych wyrazów na wypowiedzenie swojej tęsknoty, na odmalowanie żalu. Wymownym gestem okazał swoją beznadziejność, ubóstwo najdziejniejszej nawet mowy wobec nieuchwytnego dla słowa, uczucia nostalgji. Zbiierał mu się znówu na płacz. Wstał, wstydząc się może ponownego wzruszenia. «Buona sera, signora» — rzucił mi na pożegnanie, pokrywając zakłopotanie smutnym uśmiechem.

W operze Pucciniego «Fanciulla dell' West» pełnej nieprzyjemnych, krwawych zdarzeń, nabrzmiałych grozą weryzmu, jest jedna piękna scena. Wśród emigrantów z Europy, przybyłych do Ameryki w pogoni za złotem albo tylko za chlebem, znajduje się beznadziejnie smutny Włoch, który ani się napić, ani się zabawić, ani potaćzyć nie chce na kiersmaszu. Kpią z niego coby, śmieją się dziewczęta. No cóż? Niech się nie wstydzi, niech powie za czem tęskni. A kiedy Włoch wypowiada swoją tęsknotę za krajem, uczuć są wszyscy jakby urzeczni czarem pieśni. Co to było? Jak się to nazywa? «Canzona di nostalgia».

Kiedy Puccini umierał, ze wszystkich wizji twórczych, które mu się żywe premykały w pamięci w ostatnich godzinach życia, najświeższą była ta, co w muzyce znalazła niekłamany wyraz. Robiąc z sobą, jak każdy żegnający się ze światem człowiek, rachunek sumienia, odczuwał żal na czemś czego sformułować i nazwać nie można, za czemś nieuchwytnym, nierealnym, może, za czemś co go nie doszło, a może za kimś bliskim, za domem, za krajem, za wszystkim, od czego odrywa się duch umierającego. Z oczami pełnymi łez poprosił kogoś z zebranych przy jego łóżu przyjaciół, aby zaśpiewał mu «canzone di nostalgia». Był głęboko i szczerze przejęty. Wtedy wiedział już, że niebawem nastąpi agonia. Na obecnych ostatnie życie i śmierć Pucciniego wywarły wstrząsające i niezapomniane wrażenie.

Od Pirenejów po Gibraltar, od pustynnych pól Kastylji aż po skaliste, dzikie obszary Andaluzji rozlega się żałosne, przeciągłe «canto flamenco». Wokalizowany, oparty na jednej nucie i nieprawdopodobnie długim oddechu, ludowy śpiew hiszpański jest wyrazem nieukończonej, gwałtownej tęsknoty. Zrodził się ten śpiew z muzycznym zakłęk modlitewnym i wyszedł z arabskiej meszki, aby zamarować urokiem swym mieszkańców Iberji. Lamentujące «canto flamenco» znalazło szerokie echo na ziemi, gdzie ani nie widać bujnej roślinności, ani nie słychać świergotu ptaków, gdzie najczęściej kwitną zimne, kolczaste kaktusy i tylko niekiedy wstają wysoko, rozpięte groźne orły.

Emanacja długiego zaboru zaczęła «canto flamenco» na duszy hiszpańskiej

i została najgłębszym wyrazem jej tęsknoty za czemś odległym, może nieziszczalnym i tak niewypowiedzianym jak pieśń bez słów.

«It looks far away» — mówi Brytyjczyk, patrząc na morze, dzielące go od kontynentu. Kiedy los rzuca Anglika do kolonii, na wyspy malskie, czy do Australji, jego zmysł praktyczny nakazuje mu skrócić i zapobiegliwie zbierać pieniądze, by po latach pracy zacząć prawdziwe życie, tam w Wielkiej Brytanji. Wszystko inne jest wietrznością, w nadziei powrotu, choćby na krótko przed śmiercią. «The man», obryzmia, niezmierną przestrzeń wód, — morze, z którym organicznie związana jest dusza angloskoka, która dzieli i łączy ją z ukochnym krajem, — stała się dla ludzi z Albjonu synonimem melancholji ukrytej w tajemniczych głębiach oceanu. «It looks far away», to znaczy, że jak wzrok sięga daleko, tak jest smutno, bardzo smutno.

Pamiętam scenę z pięknego filmu amerykańskiego «Marokko». General Legi Czudoziemskiej wita na bankiecie nowych przybyszów z Francji. Wnieśli z sobą świeży, może wilgotny powiew deszczu, który często pada w kraju. Jakże tam jest w ojczyźnie? Są burze, błyskawice i grzmoty, a potem teża na niebie. Perli się wietrz woda na kwiatkach Normandji, a w Bretanii dojrzewają najpiękniejsze owoce. A tu w Marokko nigdy deszcz nie pada, niebo jest zawsze błękitne i tak monotonne, że niema na nim nigdy ani jednej chmurki.

Ta tęsknota Francuza do kontrastu nazywa się «ennui». Dla bogatej, żywej, błyskotliwej i ruchliwej natury galijjskiej wszystko co nie jest aurą jej kraju, jest monotonne, smutne i dalekie. Francuz pracuje dzielnie na każdym gruncie, ale w obcym klimacie odczuwa «ennui». Serdecznie tęskni za krajem, któremu w święto narodowe 14 lipca przesyła z tropikalnej kolonii i wszystkich stron świata zbiorowy hołd w tonach «Marsylianki» i zapewnienie najśliczniejszych uczuć miłości ojczyzny.

Chopin nazywał Solange, córkę pani George Sand, pieszczołtliwie «Saula». Tak Francuzi nazywają wierzby. Dla Chopina łączyło się z tem imieniem wspomnienie ojczyzny i polskiej pieśni ludowej. Bo jak Polska długa i szeroka, wszystko jedno czy to mazowiecka równina, czy górzyste Podkarpackie, wschodnie rubieże Polesia czy malownicza Huculszczyzna, nawet na najdalej wysuniętych kresach ujrzyś najczęściej rosnące brzy drożdze, zdawałoby się — nikomu niepotrzebne wierzby. Rosną szybko i rozsiadają się wszędzie rosochate, brzydkie, szare od kurzu na gościach, spłowiałe i biedne. Na nie to drzewo nikomu się nie zdało, chaty z niego nie zbudujesz, deski na stółek nie wytniesz, ani żyłki nawet, ani choćby w piecu nie rozpalisz.

Ale zato na wiosnę, kiedy drzewo mięk-

kie jeszcze, pastuszek fujarkę sobie z niego ukreci i wygra potem na niej całą tęsknotę swojej duszy, cały niewypowiedziany nigdy żal za niedne bytowanie, za smutne, bose, chłopiekie życie.

A grajże mi piszczałeczko, A grajże mi, graj! Ulinieć ci z wierzby, Gdzie ten ruczał srebrnosny! Gdzie ten szumny gaj! Pani pana tam zabiła, Zieleni się jej mogiła Zieleni się hej!...

Dziwne słowa poezji Kasprowicza są tylko słabym odbiciem bogactwa melodji zakłanej w polską fujarkę. Telemann, współczesny Bachowi kompozytor niemiecki, który jako nadworny muzyk towarzyszył królowi z kurfirstów w podróży do Polski, nazywał w XVIII w. polską pieśń ludową najbogatszą ze wszystkich w świecie, niewyczerpaną skarbnicą dla tematów muzycznych. Polska pieśń ludowa, łatwa dla ucha, a jednak nieuchwytna, żywa, skoczna i porywająca swoją melodią mazurków i oberków, przetrzymująca niespodziewanie swój rytm z wesołej tonacji durowej w smętne, zwolnione nagle w tempie tony molowe — czekała na Chopina. Rzewne, fujarkowe melodie zbiegły się ze wszystkimi równymi mazowieckiej, aby nagle z biednej chaty, której niedole śpiewały tęsknie w świat szeroki, wejść na pańskie salony i oczarować słuchaczy fortepianu Chopina. Muzykę, zrodzoną z chłopiekiej, wyciętej z wierzby fujarki, wzniosł Chopin na najwyższy diapazon swojej twórczości. Nie ta pieśń ludowa nie straciła ze swego charakteru i prostoty, a jednak stała się natchnioną muzyką geniusza, która wraza się w pamięć i w serce i stylem swoim nakazuje nie zapominać o tem, że taka a nie inna jest polska muzyka Chopina. Polskim słuchaczom nasuwa ona wizerunek krajobrazu bogatego w przyrodne czaśm placzące wierzby, w przysiadłe niskie kurne chaty, wizerunek smutnego kolorytu jeźni szybko i rozsiadają się wszędzie, roz-swojej powierza tęsknotę i żal...

Tempo w muzyce Chopina jest tempem wrażliwego serca. Nazywa się ono w muzyce «tempo rubato». Trudno je sformułować, trudno je nakazać. Niema na to szkoły, a łatwo popaść w przesadę. Sławny pianista polski, niezrównany odtwórca Chopina, określił «tempo rubato» poprostu: «graj jak ci serce bije». Bo serce człowieka bije to mocniej i szybciej, to znów wolniej i ciszej, i każde inaczej reaguje na wzruszenia. Pianisci polscy minionego okresu rozumieli najlepiej tajemnicę «tempo rubato». Ich odtworczości Chopina nieodłącznie był sentyment dla wszystkich co w muzyce tej jest najszczytniejszym objawem polskości. Nieuchwytna więc, łącząca serce polskiego pianisty z muzyką Chopina, dawała mu w świecie glej do sławy, a jego wrażliwość artysty była mu sejsmometrem dla polskiego «tempo rubato», tempa tęsknoty i żalu, które źle zrozumiane, nieraz brzmiało niedrogo, ekliwne i sentymentalne.

PAULA LAMOWA.

*) Wykład wygłoszony dn. 15 marca b. r. w Uniwersytecie Polskim Zagranicą, por. wykłady p. t. «Tradycja i nowość w literaturze polskiej» w nr. 2. «Poezja Warszawy» w nr. 5 i «Więć w współczesnej literaturze polskiej» w nr. 6 «Wiadomości Polskich».

AKTUALNOŚCI POLITYCZNE I WOJENNE

Ósma sesja Rady Najwyższej odbyła się w atmosferze takiej samej szczernej dyskrekcji, jak siedem uprzednich posiedzeń. Samolot przywiózł z Londynu polityków i generałów angielskich, którzy obecnie znają chyba powietrzną marszrutę Croydon — Le Bourget równie dobrze jak trasę londyńskiego autobusu Kings Cross — Victoria Station. Tajemnica jest za każdym razem doskonale strzeżona; data przybycia kierowniczych kół sprzymierzonego narodu nie przenika nawet do najbardziej utajonych dziennikarzy. Dopiero w pewien czas po odlocie cudzoziemskich gości redakcje otrzymują lakoniczny komunikat, a nazajutrz — sześciostopniowy nagłówek na pierwszej stronie porannych dzienników obwieszcza zebranie się Rady Najwyższej, mózgu sprzymierzonych.

Ostatnia sesja odbyła się od poprzednich swym różnym składem osobowym. Na quai d'Orsay, przy rokokowym biurku świetnego ministra Ludwika XV, Vergenena 1940 r., przy którym zasiadali niegdyś Talleyrand, Chateaubriand, Guizot, Walewski i Delcassé, znaleźli się tym razem nie tylko

przedstawiciele Francji i Anglii, ale również Polski i Norwegii. Koalicja obradowała w pełnym komplecie. To doniosłe nowum posiada szczególną wagę dla nas, Polaków. Zawsze odnosiliśmy się z najwyższym zaufaniem do naszych francuskich i angielskich przyjaciół, których pościągnięcia dyplomatyczne i wojskowe znajdowały się zresztą w doskonałym synchronizmie z opinią rządu Rzeczypospolitej Polskiej. Mimo to jednak niektórzy z nas zadawali sobie pytanie, dlaczego reprezentanci kraju, który pierwszy oparł się zbrojniemu najazdowi i uratował honor Europy żywym murem piersi swych obywateli, nie zasiadali dotychczas formalnie u boku sprzymierzonych.

Wortkowa sesja Rady Najwyższej, w której wzięli udział premier Sikorski, minister spraw zagranicznych Zaleski i minister Frankowski, dała nam satysfakcję. Nie przesadzimy twierdząc, że stała ona w znacznej mierze pod znakiem wypowiedzi szefa naszego rządu, który — według urzędowego komunikatu — „zapewnił Radę Najwyższą o stanowczości, z

jaką rząd, armia i naród polski będą prowadzić walkę przy pomocy wszystkich środków znajdujących się obecnie w fazie pełnej reorganizacji i pełnego rozwoju. Rada Najwyższa podkreśliła jak dalece ocenia ducha, w którym urzeczywistnia się ów wysiłek, i wyraziła zadowolenie spowodowane efektywnym przyczynieniem się Polski do wspólnej sprawy”. Stowa powyższe, skrupulatnie dozowane przed ich publikacją, dowodzą znaczenia Polski jako absolutnie równego partnera w grze. Już gest potężnych Stanów Zjednoczonych, których przedstawiciel Sumner Welles odpowiedział premiera Sikorskiego, posiadał swą wymowę. Udział reprezentantów rządu Rzeczypospolitej w Radzie Najwyższej zamka wszelką dyskusję na ten temat, a czynny wkład naszej marynarki (zatrzymanie „Rio de Janeiro” przez polską łódź podwodną), odłot lotników na front, wyruszenie polskich formacji saperkich na wyznaczone im pozycje, świadczą, że armia polska żyje i zadaje ciosy.

JULIUSZ GROT.

GŁOSY ŚWIATA

NIEZWYCIĘŻONA...?

Publicystyka polityczna i rzeczoznawcy wojewski prasy całego świata oceniają skok Hitlera na Skandynawię jako wydarzenie, które zdecydowanie o przebiegu i wyniku wojny. „New York Times” jest zdania, że obok daty 1 września 1939 r., dnia ataku na Polskę, dzień 9 kwietnia 1940 r., dzień ataku na Danie i Norwegię, jest drugim dniem historycznym w dziejach toczonej się wojny.

Wyniki akcji skandynawskiej Hitlera ocenia prasa amerykańska pesymistycznie dla Niemiec. Ocena ta jest jednolita, i pod tym względem dzienniki amerykańskie nie specjalnie wrogie Hitlerowi zgadzają się z prasą notorycznie antyniemiecką. Tego rodzaju ocena rodzi oczywiście pytanie: — dlaczego zdecydować się na krok szaleńczy, skoro nie ulega wątpliwości, że krokiem tym się odsoni? Odpowiedź jest jedna: — bo musiał, bo był do tego zmuszony! Akcja skandynawska Hitlera nie była pociąganiem zdecydowanym dobrowoli i suwerennie. Datująca się od drugiej połowy marca aktywna postawa sprzymierzonych w dziedzinie prowadzenia wojny gospodarczej, dyplomatycznej i morskiej — postawiła Niemcy w sytuacji przymusu. Tym razem inicjatywa została Hitlerowi narzucona.

Już w pierwszych dniach marca b. r. korespondenci amerykańscy stale rezydujący w Berlinie twierdzili, że przed kierownictwem polityczno-wojskowym Niemiec stanęły trzy pytania:

1) czy naród niemiecki wytrzyma przeciągającą się bezczynność wojenną w obliczu wrastających trudności gospodarczych?

2) czy sprzymierzeni są w stanie zacięnie blokade?

3) czy uda się uniknąć rozszerzenia teatru wojny?

Na pierwsze z pytań odpowiedź wypadała negatywnie. Brak sukcesu przy coraz nowszych restrykcjach — był dla autorytetu partii hitlerowskiej zabójczy. Nikt nie chciał przez to powiedzieć, że w Niemczech groziła już rewolucja, ale nacisk partyjnych organów politycznych na dowódców wojskowych wzrastał w miarę jak partia traciła popularność w szeregach wojska, zniecierpliwione bezradnością kierownictwa politycznego. Hitler widział się w przededniu konieczności odstąpienia istotnej władzy Reichswehrze.

Na temat możliwości zacięciennia blokady — odpowiedź wypadła pozytywnie. Wedle oceny ekonomistów neutralnych, blokada pozbawiła Niemcy 50% wwozu. Gdyby udało się „odciągnąć” jeszcze 10%, t. zn. pozostawić Niemcom tylko 40% wwozu przedwojennego, Hitler musiałby szukać w ofensywie możliwości rozluźnienia zaciągającej się pelli.

Odpowiedź na pytanie trzecie związana była ściśle z odpowiedzią na drugie. Jeżeliby zacięciennia blokady zmusiło Hitlera do ofensywy, automatycznie oznaczałoby to rozszerzenie teatru operacji wojennych, nie bowiem nie jest pewniejsze dla berlińskich korespondentów amerykańskich, niż to że Niemcy nie zdecydowały się na ofensywę na froncie zachodnim. Linia Maginot gra rolę psychologiczną, jak i strategiczną. Przełamanie jej uchroni Niemców z rzeczą niemożliwą, a hitlerzy nie boi się niczego. Zdać sobie sprawę z tego że momenty psychologiczne, które operuje, obracając się w zjawiska dla katastroficzne w wypadku przegranej.

W rezultacie historycznego posiedzenia Najwyższej Rady Wojennej sprzymierzonych w dn. 28 marca b. r. „Wielka Brytania zdajeł rekawiczki”, jak się wyrażono w Izbie Gmin: — zacięciennia blokady, czyli decyzja kluczowa dla dalszego rozwoju wypadków, stało się faktem dokonanym. Zgodnie z przewidywaniami amerykańskimi, przed Hitlerem popchniętym do działania przez londyńskie decyzje stała alternatywa: atak na linię Maginot, czyli perspektywa najbardziej nienawidzona, bardziej jeszcze nawet przez niego, niż przez dowódców wojskowych, lub rozszerzenie teatru wojny, to jest to właśnie o czym „Völkischer Beobachter” jeszcze dn. 20 marca b. r. pisał, że „nigdy się sprzymierzonym nie uda, choć tego tak gorąco pragną, że aż chcieli wojska posłać do Finlandii w błotnej nadziei, że i my się damy wyciągnąć na daleką Północ”. Rzecz jasna, że dla dowódców niemieckiego rozszerzenie teatru działań wojennych jest zjawiskiem ujemnym, i miał „Völkischer Beobachter” rację, że przed tem powinni się byli Niemcy ustrzec. Nie wdając się w dłuższe konsyderacje strategiczne, wystarczy sobie uświadomić, że

Niemcy odsłoniły ponad 880-kilometrowy front na atak sprzymierzonych, i to front morski, na którym sami są słabsze w stosunku do sprzymierzonych uznają. Bardzo chłodno rzeczy oceniający berliński korespondent holenderskiego „De Telegraaf” jest przekonany, że tylko pod naciskiem skrajnej konieczności i w sytuacji wręcz bez innej wyjścia mógł się Hitler zdecydować na skok tak oczywiste karkołomny.

Ale też — pisze tenże korespondent „De Telegraaf” — przecięcie dowozu znacznej części rudy szwedzkiej przy ciągłym jeszcze braku spodziewanych dostaw rosyjskich, postawiło Niemcy w sytuacji wyjątkowo krytycznej. Kampania w Polsce przyniosła Niemcom — ciągle wedle teo- goż Holendra — straty w materiale większe, aniżeli się powszechnie sądzi. Wyównanie tych strat nie mogło nastąpić bardzo szybko, gdyż równocześnie trzeba było forsownie naprawiać polskie urządzenia komunikacyjne, jak mosty, linie kolejowe i t. d., skoro chodziło o otwarcie drugiemu upragnionemu dostawom soczewic. Zużycie rudy metalowych było więc olbrzymie. Ponadto — wyjątkowo ciężka zima sparaliżowała wszelką aktywność gospodarczą, co odbiło się dotkliwie na niemieckiej produkcji, która jest znów warunkiem podtrzymywania handlu z zagranicą, uprawianego na Bałkanach. Zresztą — ciągle wedle „De Telegraaf” — sroga zima spowodowała bardzo znaczne straty w rolnictwie krajów bałkańskich, głównie zaś zniszczenie zasiewów, a częściowo i rezerwę ze żniw zeszłorocznych. Możliwości dostaw do Niemiec znacznie spadły. Podsumowując — sytuacja gospodarcza Niemiec na przedwiośnie stała się wręcz fatalna. Brak rudy żelaznej był odczuwicie momentem decydującym, pozostała jednak kwestia otwarcia, jak Niemcy wyobrażali sobie transport tej rudy po rozszerzeniu się działań wojennych na Skandynawię? Może liczyli na to, iż zdrada sięgła w Norwegię tak głęboko, że okupacja nie natrafi na opór, a wówczas może sprzymierzeni cofną się przed interwencją, która musiałaby się przeciwstawić zaczęciu od wypowiedzenia wojny... Norwegii.

Może sądzili, że sprzymierzeni ograniczą się do protestów? Może prawda jest to, co pisze „Daily Express” na podstawie opinii znawców sytuacji kulturalowej pałacu kanclerskiego w Berlinie, że to sam Hitler w jednym z ataków historycznych, pod wpływem wiadomości o pogarszającej się szybko sytuacji gospodarczej zdecydował uderzyć wbrew opinii sztabowców? Może...? A któż ich wreszcie wie! Istotnie jest przecież to, że przeoczyli fakt doniosłości kapitalnej, ten mianowicie, że od marca b. r. zdecydowano się w Londynie naprawdę prowadzić wojnę. Szef brytyjskiego sztabu generalnego Sir Edmund Ironside de obwieścił ten fakt w sposób nieostry, bo w wywiadzie prasowym, w którym powiedział zresztą rzeczy niewiele niżej, a w każdym razie rzadko z ust wyższych dowódców wojskowych słyszane. Pozostanie na długo dowodem, godnego brytyjskiego oficera-gentlemana zaufania o wartości reprezentowanych przez siebie wartości, oświadczenie głoszące, że sędzią na myśl, co się stało, gdyby Niemcy ruszyli do ataku na zachodzie we wrześniu, lub w ciągu pierwszych siedmiu miesięcy wojny. Nie mieliśmy bowiem wówczas wcale armii. Bogu dzięki, że Hitler przeoczył odpowiednią do ataku chwilę, i teraz bowiem — jesteśmy gotowi!.

Sir Edmund Ironside nie oszczędzał szczegółów tej angielskiej słabości sprzed pół roku. „Wiadomo powszechnie, że nie było u nas powszechnej służby wojskowej, ale może nie wszyscy wiedzą, jakie były tego konsekwencje” — mówił. — Nie mieliśmy wogóle wyszkolonych żołnierzy, musieliśmy zaczynać od początku, a nawet Napoleon nie był odrazu dobrym żołnierzem...”

Rzecz prosta, że nie byłby Sir Edmund Ironside tego wszystkiego mówił, gdyby nie mógł swego wywiadu zakończyć zapewnieniem, że w ciągu siedmiu miesięcy, w ciągu których „Hitlerowi uciekła ostatnia autobus”, jak się wyraził, postawiła Wielka Brytania na nogi armię, nie ustępującą pod żadnym względem armii niemieckiej, a chyba przewyższającą ją pod względem wyposażenia.

Poczucie siły i pewności zwycięstwa, zawarte w słowach Sir Edmunda Ironside, było wyraźną zapowiedzią uaktywnienia wojennej polityki sprzymierzonych, i tak zostało zrozumiane w całym świecie, a głównie, bo w 65%, w Stanach Zjednoczonych brytyjskiego sztabu generalnego zrobił

olbrzymie wrażenie. Ruchliwy i stosunkowo najwięcej sympatii do Niemiec zdradzający konserwator prasowy Hearsta zwrócił się telegraficznie do naczelnego dowódcy wojsk niemieckich gen. von Brauchitscha z prośbą o wywiad, w którym zawartaby była odpowiedź na poszczególne twierdzenia Sir Edmunda Ironside'a, głównie zaś na ów „ostatni autobus”, który uciekł Hitlerowi.

Gen. von Brauchitsch nie znalazł ani dozwolenia, ani argumentów w odpowiedzi. Odwrócił twierdzenie Ironside'a i powiedział prosto, że to sprzymierzeni przeoczyli ostatni moment, w którym mogli Niemców pobić, t. j. te trzy tygodnie września ub. r., kiedy armia niemiecka zajęta była w Polsce. „Była to jedyna i ostatnia okazja” — twierdził von Brauchitsch, poczem śpiewa hymn o niepokonanej armii niemieckiej, „która nigdy zwyciężona nie była”.

Tak się stało, że ogłoszenie wywiadu von Brauchitscha zbiegło się z atakiem niemieckim na Danie i Norwegię. Niemcy nadali wywiadowi wielki rozgłos, i pociągła się przez łamy całej goebbelsowskiej prasy nowo legenda o „armii niemieckiej, która nigdy nie była pokonana, nawet podczas ostatniej wojny”. Po każdym komunikacie o stracie okrętu wojennego następuje komentarz, osnuty na tym dogmacie niezwyciężoności. Niespodziewanie odgrzana teoria przeczona jest widocznie na osłonięcie wszystkich wiadomości, które mogą jeszcze napłynąć z nowego, odsłoniętego skrzydła północnego.

„Zatakwac” nas z pewnością szansa! powiedzenia można było tylko w ciągu 18 dni kampanii polskiej — deklaruje gen. Paul Hasse w „Deutsche Allgemeine Zeitung” i rozwija następnie tezę „niezwyciężoności”, podobnie jak od tygodnia czynią to wszyscy pisarze wojskowi we wszystkich pismach niemieckich.

Odpowiada temu chorowi ktoś w „Daily Telegraph”, ukrywający się pod „seudonimem” „Miles”, cytując poprostu kilka fragmentów urzędowego niemieckiego zbioru dokumentów, wydanego przez kancelarię Rzeszy w 1919 r.

Dn. 30 września 1918 r. niemiecki minister spraw zagranicznych zawiadamiał sprzymierzony rząd Bułgarii: „Całość sytuacji zmusza nas do zwrócenia się w najkrótszym terminie do Ameryki z propozycją nawiązania rokowań pokojowych”.

Dn. 1 października 1918 r. wicekanclerz von Grünau telegrafował do Berlina z głównej kwatery: „Gen. Ludendorff żąda natychmiastowego przedstawienia sprzymierzonym propozycji zawarcia pokoju... Zupelne załamanie się frontu nastąpiło może w każdej chwili, wówczas nasza propozycja „pokojowa przyszyłaby w momencie najbardziej nieodpowiednim”.

Dn. 2 października 1918 r. sam gen. Ludendorff telegrafował do Berlina, żądając ponownie przyspieszenia przekazania oferty „pokojowej” via Bern do Waszyngtonu, gdyż „armia nie może czekać nawet 24 godzin”. Równocześnie reprezentant kwatery głównej informował przedstawicieli Reichstagu, że „straty w łodziach się biją, więc są tak wielkie, szczególnie wśród oficerów, iż wpływa to decydująco na konieczność ogłoszenia oferty pokojowej”.

Dn. 17 października 1918 r. gen. Ludendorff na posiedzeniu niemieckiej rady ministrów oświadczył, że poczynając od dn. 8 sierpnia 1918 r., który nazwał „czarnym dniem w historii Niemiec”, odporność psychiczna wojsk niemieckich jest zdruzgotana. W dniu tym załamanie się 41 dywizji niemieckich otworzyło sprzymierzonym wyłom w froncie niemieckim i spowodowało rozpoczęcie niekończącego się już odwrotu niemieckiego.

Erzberger, zgłaszając się w kwaterze głównej gen. Focha, oświadczył, iż gen. Hindenburg upoważnił go do „przejścia wszelkich warunków zawieszenia broni, nawet gdyby sprzymierzeni żądali bezwarunkowego poddania się”.

Urzędowe dokumenty niemieckie stwierdzają wreszcie, że od dn. 8 sierpnia do dn. 11 listopada 1918 r., cofając się armia niemiecka, poza olbrzymimi stratami w zabitych i rannych, straciła 6615 armat, t. j. połowę całej artylerji frontu zachodniego, oraz 385 500 jeńców, t. j. blisko ćwierć swego ówczesnego stanu liczebnego.

Obraz ten, oparty na urzędowych dokumentach niemieckich, niezupełnie jest zgodny z legendą o niepokonanej armii i niezupełnie potwierdza obecną oficjalną tezę hitlerowską, głoszącą, że armia w 1918 r. mogła się jeszcze bić i zwyciężyć, i że tylko załamanie się kraju pod wpływem ataku lewicowej spowodowało katastrofę.

OBSERVER.

NOWY PUNKT NEWRALGICZNY

Indje Holenderskie

Borneo, Jawa, Sumatra, Celebes. Pieprz, cynamon, gąłka muszkatołowa. Budzą się wspomnienia z czasów lat gimnazjalnych.

Potem Max Havelaar, Multatuli, są to znów wspomnienia z czasów tej literatury (tudem ze Skandynawji), która ciężkim dżdżeniem zagadnień społecznych napieniała atmosferę piśmienniczą na przełomie XIX i XX w.

Zastanawiam się, jakie skojarzenia powstają jeszcze w człowieku mego pokolenia na dźwięk słów „Indje Holenderskie”. Aha — wulkan Krakatau. I Beniuowski? Nie Beniuowski, to Madagaskar. Razem zatem wzięwszy — niewiele.

I teraz nagle dokoła tych nierozeklamowanych wysp, stłoczonych w wąskim (na pojęcia oceaniczne) kanale pomiędzy Azją a Australją, zapalają się sygnały możliwego konfliktu między Japonją a Stanami Zjednoczonymi.

★

Około 77 milionów krajowców, Malajów-Polinezyjczyków zamieszkują wyspy Indji Wschodnich. Ogromna masa pracowników i wielki rynek zbytu. Napływowej białej ludności jest około 250 000, co wygląda na niewiele w porównaniu z tamtymi milionami, ale co w stosunkach kolonialnych oznacza duże przenikanie kulturalne.

Bogaćta naturalna są olbrzymie. Gdyby nie Indje Holenderskie, nie mieliśmyby czym leczyć malarji i tyfu innych chorób, bo 90% całej produkcji chininy stamtąd właśnie pochodzi. Kiepsko też byłoby z pieprzem, skoro 79% tej przyprawy wywozi się również stamtąd. Puszyszy kakaó jedzie z Indji w 70% wywozu światowemu, kakaucuk — w 38%, olejodajna kopra — w 30%. Poza tem wywozi się wielkie transporty cyny, herbaty, oleju palmowego. No i w bardzo wielkich ilościach — rope.

Do konkurencji o te produkty i tamtejszy rynek zbytu występują, poza Europą, trzy kraje: Stany Zjednoczone, Australia i Japonia. Japonia zainteresowała się przedewszystkiem zbytem swoich towarów w okresie depresji światowej po r. 1930, kiedy to wszędzie groził załew tandety japońskiej, i tak się zakręciła, że w latach 1930 — 1935 wwoz towarów europejskich i amerykańskich do Indji Holenderskich spadł z 65% na 43%. Ponieważ w tym samym czasie zakupy Europy i Ameryki w Indjach Holenderskich nieustannie wzrastały, przeto napływające coraz obficiej pieniądze europejskie i amerykańskie zgarniały z rosnącym zadowoleniem kupcy japońscy.

Rząd holenderski zaniepokoił się tem zachwianiem równowagi i zgodnie ze wzbraniającą we wszystkich krajach falą interwencjonizmu wprowadził system, który ustalał pewną proporcję pomiędzy przywozem i wywozem z poszczególnych państw. Dzięki temu wwoz z Europy i Stanów Zjednoczonych podskoczył po trzech latach do dawnej wysokości. Ze to zahamowanie japońskiej ekspansji gospodarczej nie poszło w smak politykom tokijskim, to jasne. Że jest to czynnik, który trzeba wstawić do obliczeń, gdy ocenia się obecną sytuację na Dalekim Wschodzie, to również niewątpliwie.

★

Największym odbiorcą ropy Indji Holenderskich jest Australia, która jej wogóle i siebie nie ma. W podobnym jednak położeniu jest też Japonia, której ziemia świetnie żywi drzewa wiśniowe, ale ropy dale niecałą 1/10 zapotrzebowania. Dotychczas Japonia zaopatrywała się w ropę głównie w Ameryce, gdzie wywiad z zębnych. Ale przypominamy sobie, że w Stanach b. r. Stany nie odnowiły traktatu handlowego z Japonją, nie odnowiły go dlatego właśnie, by mieć w ręku podnoszący bicz na kraj poczynający sobie zbyt bezceremonialnie na azjatyckim terenie interesów amerykańskich.

Skoro bowiem Japonia poza ropą sprowadza ze Stanów Zjednoczonych 70% swego zapotrzebowania rudy żelaznej, 95% samochodów, 40% bawełny i t. d., to okoliczność, że Stany mogą teraz swobodnie utrudniać wywóz do Japonji artykułów tak palących potrzeb, stwarza dla Tokio bardzo niewygodne położenie. Tem bardziej Japonia musi pragnąć owaładnąć Indjami by uwalniając się od konieczności sprowadzania ropy amerykańskiej, zmniejszyć o tyle swe uzależnienie od Stanów Zjednoczonych. Naodwrot zaś, Stany Zjednoczone muszą starać się trzymać Japonję zdalą od źródeł ropy, jeśli nie mają utracić jednego z najważniejszych swych atutów w rozgrywe z krajem, który je chce wyprzeć z rynków azjatyckich.

★

Poważnym odbiorcą produktów Indji Holenderskich były Niemcy, sprowadzające stamtąd surowców za 122 miliony mk rocznie. W tym to wwozie niemieckim zaszły od powstania III Rzeszy ciekawe przesunięcia. Spadł wóz pewnych warunków, podczas gdy podniósł się sprowadzana ilość innych. Wśród tych surowców, którym szerzej otworzono dostęp, znalazły się głównie surowce potrzebne do celów wojennych — kakaucuk, bawski, ropa (potrojoną ilość w ciągu pięciu lat). A znalazła się też wśród nich china, której wóz podwoił się od r. 1933, choć nie było słychać o epidemii febrzy w Niemczech; natomiast wiadomo, że podczas wojny światowej apteki polowe wciąż domagały się chininy.

★

Indje Holenderskie leżą tuż pod bokiem wysp Filipińskich, tego amerykańskiego przyczółka mostowego na oceanie Spokojnym.

Były wprawdzie kilka lat temu jeszcze bardzo silne prądy w Stanach Zjednoczonych, domagające się izolacjonizmu całkowitego, t. j. wycofania się Ameryki nie tylko z niebezpiecznych związków z wiecznie nieustatkwoną Europą, ale i z polityki wyciągania się ku Azji, poprzez bierną Pacyfikę. Jeśli zważyć tamtejsze przestrzenie, że mianowicie z San

ROZMOWY O WOJNIE

ROLA WŁOCH

W pewnych kołach utrzymują się uporczywe plotki, że podczas rozmowy na przełęcz górskiej (górskie powietrze sprzyja nastrojom impulsywnym) Hitler złożył Mussoliniemu pewne obietnice. M. in. że zajmie flotę angielską sprawami północnymi do tego stopnia, iż Anglia będzie musiała osłaść swe eskadry na morzu Śródziemnem. Jednak — jak wiadomo — nie mógł dotrzymać słowa.

Stosunek sprzymierzonych do sprawy włoskiej jest jasny: brytyjski minister gospodarki wojennej ostrzegł Włochy, że jeśli chcą, by je traktowano jako neutralne, muszą się neutralnie zachowywać. Tymczasem głosy oficjalnych dzienników włoskich są w dalszym ciągu zdecydowanie nieprzychylnie sprawie sprzymierzonych. Ów przykry ton nie jest jednak odbiciem opinii publicznej lub sprawą przypadku. Prasa włoska, podobnie jak prasa niemiecka, jest w ręku osób rządzących. Dlatego ze stanowiska tej prasy należy wysnuwać daleko idące wnioski.

W „Evening Standart” admirał angielski Sir Reginald Bacon poddał dokładnej analizie ewentualność wystąpienia Włoch po stronie Niemiec. Admirał Bacon jest zdania, że groźba wzmoczenia sił przeciwników przez Włochy nie jest wcale w swej istocie tak groźna, jakby się w pierwszej chwili mogło wydawać.

Wskazuje przedewszystkiem ów fakt gadanicy, że sprzymierzeni nie mają ani nie mieli żadnych powodów do wystąpienia przeciw Włochom. Gdy jednak zmuszeni będą walczyć, wojna francusko-angielsko-włoska stanie się jedną z najstraszliwszych klęsk cywilizacji. Dodaje przytem, że nonsensem byłoby twierdzenie, że Włosi nie mogą walczyć przeciw sprzymierzonym, ale dla Włoch przystąpienie do tej walki byłoby samobójstwem bez zabezpieczenia sobie bezpieczeństwa dla swych transportów morskich.

Czy twierdzenia Bacona są słuszne? Spójrzmy na mapę. Z punktu widzenia strategicznego ów sławny but — włoski jest bardzo czuły na wszelką akcję bezpośrednią z morza. Ma długość wybrzeża taką samą jak Anglia, Szkocja i północna Irlandia razem wzięte. Jeżeli dodamy do tego brzegi Sycylii i Sardynii — linia wybrzeża wymagająca obrony powiększy się o dalsze prawie 1000 mil.

Włochy mają kolonie: Erytreę, Abisynię i Libję. Inna sprawa, że wszystkie trzą się raczej deficytowo niż dochodowo. Do tego dodać należy jeszcze parę izolowanych wyspów na morzu: Egejskim, znanych p. n. Dodekanezu. Erytreę i Abisynję są odcięte od Włch kanałem Sueskim, Libję

szerokim pasem morza Śródziemnego. Wysilił Włoch z lat ostatnich się zdecydowanie w kierunku powiększenia sił morskich, nawet z pewną szkodą dla lotnictwa. Wysilił te skoncentrowały się na rozbudowie floty podwodnej i najlżejszej torpedowej; a więc łodzie podwodne i lekkie motorówki. Nowa wojna jednak wypłatała niemałego figla tym, którzy zbytnio ufali taktyce dywersyj morskiej: pokazało się np. że łódź podwodna nie sprzętem nadzwyczaj na wszelkie przeciwdziałania czułym, a przytem, jeżeli chodzi o zniszczenie sił przeciwnika, mało wydajnym.

Zaden kraj nie może iść na awanturę wojenną, nie obliczwszy przedtem wszystkich pro i wszystkich contra. Wojna, to matematyka. Sir Reginald Bacon robi o gólny bilans za i przeciw dla Włoch w razie wojny ze sprzymierzonymi.

Abisynja z miejsca odcięta. Kanał Sueski zablokowany w sposób zgodny z międzynarodową konwencją, poza światą trzymilową granicą. Szczępy wewnątr Abisynji uzbrojono i powołano do akcji: nie jest im słodko pod panowaniem Włoch. Nadto w tych warunkach łatwo będzie można przeprowadzić ekspedycję przez Dżibuti na Addis Abebę. Abisynja dla Włoch będzie bez wątpienia straconą.

Libja jest otwarta na atak zarówno ze wschodu jak i zachodu. Tripolis, jedyny port o poważniejszem znaczeniu, znajduje się o 70 mil od francuskich baz wojennych. Jeżeli Włochy myślą o ekspedycjach desantowych, najłatwiej zrobiły, gdyby przypatrzyły się dobrze sprawom Norwegii. Inna rzecz desant na wybrzeże przyjacielskie, a inna na wybrzeże o ludności nastroszonej wrogo. Teraz sprawa Dodekanezu: albo wysłać poważną flotę na ich ostroń, albo wyspy opuścić. W pierwszym wypadku trzeba rozproszyć siły, w drugim — narazić się na utratę choćby tylko tak ważnego dla poczynąń dyktatorskich prestige'u.

Morze Śródziemne dla Włoch staje się morzem zamkniętym. Trzy wejścia do morza Śródziemnego — Gibraltar, Suez i Dardanele — byłyby zamknięte.

Teraz skoiei pluss. Położenie Włoch w samym środku dróg handlowych jest dla sprzymierzonych nadzwyczaj niedogodne. Wszystkie konwoje musiałby być bardzo dobrze zabezpieczone. Lecz nie byłoby to kwestją życia lub śmierci. Armia Bliskiego Wschodu mogłaby spokojnie czepać zaopatrzenie z Australji lub z Nowej Zelandji, a nawet częściowo z Egiptu. Niewątpliwie Malta przepadłaby wojnie, lecz według wszelkiego prawdopodobieństwa komunikacja z tym portem dałaby się utrzymać. Oto wszystko co Włosi zdziałają mogą na morzu. Desant w Egipcie czy w Algierze stoi poza wszelką dyskusją. Desant w Nici walcze silnych fortifikacji francuskich byłby szaleństwem. Zaciej Korsyki — trwonieniem sił. Pozostaje tedy działanie lądowe; tu znowu — poza strażeniem granicy szwajcarskiej i francuskiej — Włosi nie mają nic do powiedzenia.

A lotnictwo włoskie? Niewątpliwie jest liczebnie silne, lecz od trzech lat zaniedbane, nie będzie w stanie stawić technicznie czoła sprzymierzonym. W dodatku łatwiej napasć sprzymierzonym np. na doki w Tarenzie, niż zbombardować Włochom np. Malte.

Bilans wypadu naogół ujemnie dla Włoch; nawet w razie nieprawdopodobnego zwycięstwa Niemiec Włochy nie mogą zyskać, a wiele stracić. Jeżeli istnieje realny „Lebensraum” niemiecki, to jest nim właśnie Fiume, Triest, Wenecja, et résumés en français, des articles paraisant dans ce numéro.

ADAM STERBAŁA.

MIECZYSLAW SZERER.

W poprzednim 6-stronicowym numerze (7) „Wiadomości Polskich” (8 ilustracji): *Zbigniew Grabowski*: To jest inna wojna. Korespondencja własna „Wiadomości Polskich”. — *Kazimiera Hlakowiczówna*: Do Matki Boskiej ukrytej. — *Publiści* francuscy o sprawie polskiej. — *Artysty* napisy specjalnie dla „Wiadomości Polskich”. — *Pierre Bernus*: Miejsce i rola Polski w Europie. — *Emile Buré*: Wyndaki dowodły że interesy Francji i Polski są wspólne. — *Florian Sokół*: Rycerz powietrza. W goście u „Royal Air Force”. Od własnego korespondenta „Wiadomości Polskich” przy armii brytyjskiej. — *Aktualności* Polityczne i Wojenne. *Observer*: Głosy świata: „Le prussanisme — voilà l'ennemi”. — *Adam Sterbała*: Rozmowy o wojnie: Sprawy norweskie. — *T. N. Hudes*: Maski Wotana. — *Juliusz Grot*: Po oświadczeniu Rady Najwyższej: Wielka Brytania nie jest wyspą. — *Z* księgi mecenstwa polskiego. — *Jan Bieladawicz*: S. p. Ignacy Chrzanowski. — *Stefania Szurlej-Kossowska*: S. p. Michał Siedlecki. — *Michał Kondracki*: Muzycy polscy przy pracy. — *Stefan Thernerson*: Nowe filmy. — *Nagroda* „Les Amis de la Pologne”. — *Czytelnicy* o „Wiadomościach Polskich”. — *Wiadomości* Polskie sprzed lat osiemdziesięciu pięciu. — *Książki* nadesłane. — *Extraits* et résumés en français, des articles paraisant dans ce numéro.

Wierna Francja

W toku prac nad katalogiem rzeczowym Biblioteki Polskiej w Paryżu zarysowuje się coraz wyraźniej odrębny i bogaty ilościowo dział książki o Polsce, pisanych w latach 1795—1918 przez cudzoziemców, uzasadniających prawa nasze do samodzielnego bytu państwowego.

Dzięki wysiłkom niezliczonych przyjaciół Polski, rozszaniach po obu półkulach, rok po roku, przez długie stulecie niewolniczo przypominano światu zbrodnie, popełnioną przez zaborców, domagając się jej naprawienia.

A przedewszystkiem: uzasadniano prawa nasze do wolności.

Oszłołomien odzyskana niepodległość, sądziliśmy krótkowzrocznie, że wydańnictwa te ilustrują zamknięty rozdział historii. Tryumfalnie sprowadziliśmy do kraju zbiory Muzeum Narodowego Polskiego w Rapperswilu; było wśród nas wielu zwolenników przewiezienia do Polski Muzeum Adama Mickiewicza i Biblioteki Polskiej w Paryżu.

Fortuna variabilis. I oto doszła nas wieść o zniszczeniu zbiorów rapperswilskich w czasie oblężenia Warszawy, a do jedynej wolnej polskiej biblioteki naukowej napływać zaczęła nowa fala książek i broszur, pisanych przez przyjaciół Polski, broniących nanowu naszej sprawy.

Jeden z pierwszych odezwał się wypróbowany rzecznik sprawy polskiej, który jakby pomost między wielką emigracją a dniem dzisiejszym — kardynał Al-

fred Baudrillard. «Salut aux dames, honneur aux Polonais!».

Nastroje te uległy ewolucji in minus w okresie 1870—1914 w dobie filorosyjskiej polityki rządu francuskiego — i odróżdziły się, na podstawach zresztą mniej sentymentalnych, w okresie wielkiej wojny.

Pierwsze wydanie broszury witało odrodzoną Polskę w głośliwie odniesionego zwycięstwa nad bolszewikami, szczególnie miłego dostojnikowi kościoła.



Kardynał Alfred Baudrillard 98037

Drugie zakończyć wypadło inaczej. Piętnastolecie, dzielące obie redakcje, omówione jest zwięźle, może umyślnie aż tak zwięźle, jakby wynikało z konkluzji, zamykającej rozdział VIII: «Podczas całego tego okresu (1918—39) Francja śledziła z głęboką życzliwością postępy swojej sojuszniczej, szanując niezależność jej polityki, wtedy nawet gdy niektóre jej posunięcia nastrożały pewne podstawy do niepokoju. Niepokój jest jednak często formą przywiązania, ożywia jej pono niekiedy».

Rozdział ostatni poświęcone są omówieniu konfliktu polsko-niemieckiego i obecnej sytuacji Polaków. Kończy się sylwetą gen. Sikorskiego, skreślona na podstawie wspomnień osobistych Kardynała, i pełne wiary słowa otuchy i wytrwania, szczególnie dla nas cenne.



André Maurois

82641

fred Baudrillard. Związki jego z Polską datują się od lat co najmniej czterdziestu.

Co roku zbierali się emigranci polscy o siedli w Paryżu na nabożeństwo żałobne za dusze współrodaków zmarłych na obczyźnie. Co roku z katedry w Montmorency padały słowa otuchy i wytrwania. Głosili je kolejno księża Graty, Perraud, Mariote, Pételot, Lescoeur, wierni obrońcy sprawy polskiej. Godnym ich następcą stał się w r. 1903 ks. Baudrillard, wówczas profesor w Instytucie Katolickim w Paryżu.

Kazanie, ogłoszone drukiem, rozpoczęła szereg propolskich wydawnictw Kardynała. Kontynuuje je w wrześniu 1914 r. obszerny artykuł p. t. «Katolicyzm, Francja i Polska», uzasadniający czytelnikom «Revue Pratique d'Apologétique» potrzebę zjednoczenia trzech zaborów.

W r. 1920 kardynał Baudrillard odwiedza Polskę w okresie wojny polsko-bolszewickiej. Jest to druga skolei podróży jego do kraju, który już w r. 1906, w czasie pierwszego zetknięcia się z ziemią polską, pozyskał w nim wiernego przyjaciela i obrońcę.

Przyjaźń ta znalazła najpełniejszy wyraz w odczycie «Dlaczego Francja kocha Polskę», wygłoszonym dn. 22 czerwca 1924 r. w auli uniwersytetu poznańskiego w czasie wycieczki biskupów francuskich do Polski. Wycieczka ta stała się tematem obszerniej relacji p. t. «Biskupi francuscy w Polsce», ogłoszonej w r. 1925.

Odczyt poznański, zmienił i rozszerzył, ukazał się w grudniu 1939 r. w drugim wydaniu p. t. «Pourquoi la France aime et aide la Pologne» w serii «Directives» (1).

Wcześniej jeszcze, w październiku i w listopadzie ub. r. ukazały się w «La Croix» z dn. 7 października i w «La Politique et la Guerre» z dn. 5 listopada artykuły kardynała Baudrillarta, witające nowy rząd gen. Sikorskiego, ukonstytuowany na ziemi francuskiej.

«Naród francuski jest misjonarzem cywilizacji w Europie, naród polski — obrońcą tej cywilizacji» — powtarza za Victorem Hugo kardynał Baudrillard, podkreślając rysy charakteru wspólne Polakom i Francuzom, jedność wiary i momenty zbieżności w dziejach politycznych.

Na szczególną uwagę zasługują rozdział omawiający stosunki polsko-francuskie w latach 1830—70, kiedy «nie co polskie nie było obce sercu Francuza. Dzienniki, sztuki, książki, nawet opowiadania dla dzieci przynosiły miłośnikom Polski... szciany mieszkali zdobyli szczyty, wyobrażając śmierć ks. Poniatowskiego w nurtach Elstery, Sosnosierre... przy wejściu do «Balsmusset», poprzedzając dzisiejszych café-concerts, czytano napis, który budziłby uśmiech, gdyby nie tchnął bezpośrednio

(1) «Directives». Collection dirigée par M. Christian Melchior-Bonnet, Cardinal Baudrillard de l'Académie française. Pourquoi la France aime et aide la Pologne. Paryż, Flammarion, 1939; str. 33 i 3n.



Wladimir d'Ormesson

82640

«Chateaubriand», ostatnia kuponu w Polsce książka, już niedościgniona.

Te same też moce, które zniszczyły w niejednym domu warszawskim madre i piękne książki Maurois, sprawiły, że wielki pisarz pióro swe zwrócił musiał ku zagadnieniom chwili obecnej, odkładając na lepsze, oby bliższe, jutro, powrót do twórczości strictly sensu.

A przecież, czytając «Les origines de la guerre» (2), gdy ucho odróżni znajomy rytm prozy, wydać się może w krótkiej chwili zapomnienia, że znowu, jak w czasach minionych, a lekkomyślnie międzywojennej szczęśliwości, czytamy kunsztowną relację o dalekiej i obcej wojnie.

Jak w tragedii klasycznej zarysowują się oblicza kontrahentów, ścierając się potężne namiętności, na scenę wkrocza podstęp i zdrada, w obronie uciśnionych podnoszą się sojusznicy, piętnując napasę, «która brakiem podstaw przewyższa wszystko widziane dotąd. Nigdy dla u sprawiedliwienia agresji nie uruchomiono tylu kłamstw, nie zdobyto się na tyle cynizmu»...

To mówi Daladier. A słowa te, nas dotykające, wplecione w finał studium Maurois, padły w pamiętnych dniach wrześniowych, potępiając brutalny atak na Polskę.

Edouard Herriot wygłosił w grudniu ub. r. trzy odczyty o Polsce w przepelnio-

(2) André Maurois de l'Académie française. Les origines de la guerre de 1939. Paryż, nrf. 1939, str. 62 i 2n.

nej sali «Cercle Militaire». Pełne ich teksty uzupełnione starannie dobranymi ilustracjami, ukazały się w «Conférenci» z dn. 1, 15 stycznia i 1 lutego b. r.

Ambitnym zamierzeniem prelegenta było omówienie w ciągu trzech wieczorów dziejów politycznych i kulturalnych Polaków z Francją i odwiecznych zatargów ze swym celem germańskim.

Cel został osiągnięty. Zwięźle, trafnie i jasno, ze swadą wytrawnego mówcy, wprowadził Herriot słuchaczy francuskich w świat zagadnień polskich, podkreślając sprawy najważniejsze i osadzając w czasie i przestrzeni znane każdemu ze słuchaczy postaci Marii Leszczyńskiej, króla Stanisława Augusta, ks. Józefa Poniatowskiego, Chopina, Mickiewicza.

Zakusy niemieckie, ujawnione nanowu w toku lat ostatnich, wywołał Herriot ze starych tradycji krzyżackich, kontynuowanych troskliwie przez Fryderyka Wielkiego, Bismarcka i Hitlera.

Sowieci jednak, «atakując zdradziecko Polskę, zaprzeczyli naraz poglądom Karola Marksa i tradycjom Międzynarodówki». Tu przypomina Herriot opinie «ojca komunizmu», który w r. 1848 domagał się wskrzeszenia Polski «w granicach co najmniej sprzed r. 1772. Trzeba żeby kraj ten miał nie tylko dorzecza swoich wielkich rzek, ale i ich ujścia — i choćby na Bałtyku, duży kawał wybrzeża».

Przypomina dalej Herriot, że obronie sprawy polskiej poświęcony był wielki



Edouard Herriot

82639

zjazd robotniczy w St. Martins Hall w Londynie, na którym dn. 28 września 1864 r. stworzono w obecności Marksa i przedstawicieli świata pracy wielu krajów Europy — Międzynarodówkę.

Początek dążeń ekspansyjnych germanizmu na wschodzie Europy zbiega się z datą pierwszego rozbioru Polski. Dzieje polityczne w XIX i doświadczenia ostatniego ćwierćwiecza wykazały, że istnienie niepodległego i silnego państwa polskiego jest podstawowym czynnikiem równowagi europejskiej. Uznając tę rację Francja i Anglia zwały się z Polską przymierzami i dlatego walczyły obecnie.

Oto tezy Władimira d'Ormessona, wypowiedziane w broszurze p. t. «La Pologne, notre sœur» (3), napisanej w październiku 1939 r. pod świeżym wrażeniem kampanji wrześniowej, której przyczyną bezpośrednią był konflikt polsko-niemiecki, nie będący jednak racją jedyką i ostateczną wojny obecnej.

Na tle zwięzłego zarysu dziejów Polski daje d'Ormesson obraz polsko-francuskiej współpracy politycznej i kulturalnej. Zarys ten, skreślony wnikliwym i przyjaznym piórem, w jednym tylko szczególe domaga się korektury w dalszych wydaniach: to nie Mickiewicz, lecz Jarosław Dąbrowski usiłował zorganizować w r. 1870 legion polski.

W rozdziale, poświęconym omówieniu stosunków polsko-niemieckich, dociera d'Ormesson do genezy obecnego konfliktu. Usprawiedliwia zawarcie przez Polskę paktu o nieagresji z Niemcami w r. 1934, przypominając że posunięcie to spotkało się z aprobatą Francji. Krytyczne zastrzeżenia nasuwa mu natomiast u stosunkowanie się rządu polskiego do Czechosłowacji. Postawę Polski częściowo tylko tłumaczy pamięć o roli Czechów w r. 1920 i sprawa Cieszyńska.

Moment przechyleń się szali przeciwko Polsce wiąże d'Ormesson z wizytą Becka w Berchtesgaden i bytnością Ribbentropa w Warszawie, t. j. z momentem gdy oczywiste stało się, że Polska nie będzie współdziałała z Niemcami i że nie zgodzi się na dalsze pociągnięcia, kontynuujące politykę «de l'espace vital» na wschodzie, a w szczególności na Ukrainie.

Polska nie skapitulowała. Konflikt dojrzał. To co nastąpiło dalej, było ze strony niemieckiej nieudolnym i kłamliwym usiłowniem usprawiedliwienia agresji, ze strony polskiej pośpiesznym przygotowywaniem się do obrony.

Trzynasty punkt propozycji pokojowych, przedstawia Wilsona, domagający się przywrócenia Polski z dostępem do morza, znowu stał się aktualny.

MARJA DANILEWICZOWA.

(3) Ici, France. Wladimir d'Ormesson. La Pologne, notre sœur. Paryż, Flammarion, 1939; str. 30 i 2n.

EXTRAITS ET RÉSUMÉS, EN FRANÇAIS, DES ARTICLES PARAISSANT DANS CE NUMÉRO

Au sommaire du n° 8 des «Nouvelles Polonaises» figurent les textes suivants: les poèmes de M. Kazimierz Wierzyński et de Mme Irène Turwin; l'article de M. Ksawery Pruszyński «Leurs Pâques»; l'article de M. Aleksander Hertz «Sous le signe des hobereaux»; la conférence de M. Jan Lechoń «La littérature dramatique polonaise»; le feuillet de Mme Paula Lamouza «Tempo rubato»; le fragment du roman de Mme Maria Kuncewiczowa «Pierre et Auguste»; les articles de M. Juliusz Grot (sur la Pologne, dans le Conseil Suprême), d'Observer («Invincible...?»), de M. Mieczysław Szerer («Les Indes Néerlandaises»), de M. Adam Sterbała («Notes sur la guerre»); le compte-rendu par Mme Maria Danilewiczowa (sous le titre «La France fidèle») des livres des Mgrs. Baudrillard, Maurois, Herriot et d'Ormesson, concernant la cause polonaise; etc., etc.

Nous donnons ci-dessous les résumés de quelques articles qui pourraient intéresser, plus particulièrement, le lecteur français.

Leurs Pâques

M. Ksawery Pruszyński rêve de son pays, il en rêve tendrement, douloureusement. Sa pensée le mène dans une petite église gothique, accrochée aux flancs d'une colline, en contre-bas et fort affaissée en sa vieillesse. Pour y entrer, on est forcé de descendre quelques marches de pierre, étroites et creuses au milieu, à l'instar des touches usées d'un très, très vieux clavier. Tout autour, la ville poussait jadis, librement, prenait de l'espace, tandis que la petite église ne faisait que s'enfoncer de plus en plus dans le sol, comme si elle voulait laisser la place à la cité même, à son enceinte, à la forteresse qui veillera fidèlement sur le sacré et le laïque. Ainsi, elle reste là, à l'écart, depuis des siècles, pour abriter la prière. M. Pruszyński est bien au courant de ses usages séculaires, pour l'avoir fréquenté longtemps. Aujourd'hui, par exemple... On chante la messe, par ce matin de Pâques, à la mode ancienne, sempiternelle, si lointaine et si proche, si chère. Les visages qui la peuplent sont toujours les mêmes, familiers, connus de toujours: familiaux, pour tout dire.

Et M. Pruszyński, entraîné par le souvenir, pense aux autres églises de sa patrie, aussi vétustes, datant également du moyen-âge ou de la prime-renaissance, mais plus riches, plus fières: à celle qui, sous le vocable de Vierge-Marie règne sur l'antique Cracovie, toute rose de sa brique rose, et à celle sous l'invocation de Sainte Anne, à Wilno, aux fenêtres hautes et minces comme des meurtrières, avares de lumière et d'air. Nostalgie en son tréfonds — moitié envie moitié amour — il les compare aux cathédrales provençales où la clarté entre allègrement, sans encombre.

Il se trouve, en ce moment, dans une d'elles, justement. Les soldats polonais y rient, avant d'aller aux prochains combats, tout comme autrefois les chevaliers croisés, quand ils étaient sur le point de partir au loin se battre pour une cause sacrée.

Et, de nouveau, le rêve de M. Pruszyński revient à la Pologne. Il vagabonde pas à pas, le long du pays, se rappelle le parfum du printemps polonais, si frais, si juvénile, se réjouit mentalement de ses charmes, tant délectables au cœur aimant. Mais, soudain, d'autres visions l'assaillent: les enfants morts de froid et de faim, les hommes fusillés par centaines, les filles mitraillées aux champs, les chaumières brûlées, les maisons en décombres — toutes ces suprêmes misères, toute cette désolation. Et l'exil... Et les orphelins hors du foyer... Et les vieillards sans famille... Et les êtres, là-bas ou quelque part dans le monde, sans toit: parents, amis ou gens naguère encore indifférents et, à l'heure qu'il est, âmes fraternelles.

La littérature dramatique polonaise

Comme sujet du quatrième cours de la série M. Jan Lechoń prend la grande poésie dramatique polonaise, ses vertigineuses hauteurs, ses profondeurs abyssales.

En Pologne, la poésie qui domine de beaucoup tout autre mode de l'expression littéraire prit, à de très rares exceptions près, la forme dramatique. Ce ne sont pas là des pièces théâtrales, à proprement parler; mais la structure même des grands poèmes polonais est celle du drame, du drame antique, si l'on veut. Et la plupart

Korespondencje

Inż. Cz. P. Nie skorzystamy. E. S. w Rotterdamie. Nie będziemy drukowali. Ad. N. Dziękujemy najserdeczniej; zamieszcimy.

M. Gł. w Monaco. Dziękujemy; zamieszcimy. Szcz. P. w Tuluzie. Umieścimy. J. K. w Metz. Przesyłamy.

M. Gł. w Bressuire. Z wiersza nie będziemy mogli skorzystać, nie jest on jednak pozawarty wartości.

F. Y. w Tel-Aviv. Niestety, nie wiemy co się stało z Zegadłowiczem.

Kr. T. w Nowym Jorku. Za życzenia uprzejmie dziękujemy. — Z nadastanych utworów, niestety, nie będziemy mogli skorzystać.

Eug. P. w Wilnie. Za miłe słowa uprzejmie dziękujemy.

Ad. G. w Louanum. Prosimy o bliższy adres, a wysyłamy egzemplarz okazowy. — Adres P. E. N. Clubu polskiego: 66, r. Pierre-Charon.

K. L. Z artykułu nie skorzystamy. Por. dr. Ign. W. Dział teatralny będzie wprowadzony. Za miłe słowa dziękujemy.

Dr. W. K. w Londynie. Nie skorzystamy. W. Iw. w Malesroiff. Prosimy o inny materiały.

Kotodziej Juljan w Tornanadaska (Węgry) poszukuje Feliksa Szórawa i znajomych.

Redaktor: Zygmunt Nowakowski

Le gérant: Gabrielle Ricordeau

IMPRIMERIE COOPÉRATIVE ÉTOILE
18-20, Fbg. du Temple, Paris (11^e)

de ces authentiques chefs-d'œuvre, par leur nébulosité, par leur caractère étheré, par l'ampleur de leur imagerie spectrale, semblaient condamnés à ne pouvoir jamais se réaliser sur les tréteaux qui, trop limités dans leur matérialité, se prêtèrent mal à l'immatériel. Du moins, ce fut ainsi, il y a un siècle. Aujourd'hui pourtant, ils donnent de la splendeur poétique aux répertoires de la scène, et l'on joue couramment ces créations de pure fantaisie, ces rêves, ces songes de l'âme.

Et, alors, on s'aperçoit du coup que Mickiewicz, Słowacki, Wyspiański furent des clairvoyants devins, grâce à leur puissance quasi médiumique, des truchements magiciens entre le monde de la terre et le monde des esprits, des fantômes.

Peut-on faire comprendre, peut-on faire connaître ces œuvres-matresses à l'étranger? Comment les lui faire accepter? Comment arriver à offrir ce trésor personnel et le verser, intact, au trésor commun?

Dans une de ses leçons précédentes, M. Lechoń mentionna incidemment les difficultés qui se présentent, sans rémission et sans cesse, à quiconque essaie de faire connaître les œuvres de la prose polonaise et de faire apprécier ses richesses particulières et sa signification essentielle.

Avec les œuvres poétiques, la tâche devient insurmontable, peu ou prou. Les valeurs qui entrent dans ce que l'abbé Brémond appelle la «poésie pure», ces impalpables qui décident de la beauté verbale du poème et qui donnent tant de prix aux strophes d'un Mallarmé ou d'un Valéry se trouvent totalement incommunicables. En outre, l'ordre sentimental qui y règne et commande n'est pas moins malaisé à être transmis, de pays à pays, de langue à langue.

A l'appui de ses dires et en fait de démonstration, M. Lechoń commente la grande figure de Konrad («Les Aïeux») créée par le génie de Mickiewicz, figure plus tragique par son tourment que Hamlet, aussi passionnée en son cœur, que Faust, et pareillement rêveur «éveillé» et rêveur dans le sens onirique, que ces deux immortels héros, mais de loin plus hermétique, plus nébuleux qu'eux deux. Il en est de même pour les autres créations poétiques de la Pologne: obstacles et embûches s'y dressent à chaque pas. Souventes fois, les «âmes parlantes» du pays sont en avance sur l'heure. Si bien qu'avant la naissance du symbolisme et sa mystérieuse pénombre et avant que Freud aura dévoilé la secrète et puissante logique des songes et des souvenirs qui, masqués, maillés, déguisés, hantent la vie nocturne — avant donc l'apparition de ces deux vus de l'esprit, relativement récentes, Słowacki a abordé cette terre inconnue où les aspects apparaissent dument déformés, emmêlés à l'envi de la vie, afin qu'on les dénoue avec peine, et pour qu'on devine difficilement les vrais traits, sous de faux semblants, brouillés et obscurs. Dans son drame «Samuel Zborowski», le génial poète romantique prit, comme sujet et comme action, le mystère paltingénésique au sein duquel les esprits

vivent et souffrent à la manière des hommes, tout en restant sur d'inaccessibles cimes, livres quasiment de toute matérialité, délivrés de toute entrave terrestre. Et le long de cette œuvre, peut-être unique, le génie polonais se hausse à une altitude saphirique, et la langue, usant d'intonations en vérité surhumaines, accède à une sublimation religieuse. Ici, choses, gestes, paroles enjambent les abysses, visent le zénith, vont vers l'au-delà.

«Les Aïeux», de Mickiewicz, «Samuel Zborowski», de Słowacki, ainsi que la «Délivrance», de Wyspiański qui, néo-romantique, suit ses grands devanciers, s'attachent au problème dont la pensée polonaise n'est jamais quitte, problème de la liberté: grand drame et perpétuelle aspiration non seulement de la Pologne subjuguée, mais aussi de la Pologne éternelle. En dernière analyse, ce sont là, dans ces œuvres et dans bien d'autres encore, des constructions de la haute idéologie: humanitaire, politique ou nationale. Ainsi, la «Comédie non-divine», de Krasiński qui forme, avec Mickiewicz et Słowacki, l'illustre triade romantique, n'est rien moins qu'un élan suprême, qu'un suprême coup d'ailes de l'idée sociale polonaise.

M. Lechoń met l'accent sur le contenu patrimonial, «racial», essentiellement polonais des créations qu'il examine, en passant d'un écrit à un autre. Il traverse, de la sorte, les formations littéraires des époques successives et montre la persistance du «polonisme» partout où le talent s'accuse, où l'ouvrage s'avère de marque, allant du grave au plaisant. Ainsi, les comédies de Fredro (mort au déclin du XIX^e siècle) d'une tonalité pourtant toute différente, d'un comique parfois bonhomme et quelquefois mordant, portent la même empreinte originelle, participant à la même poésie de terroir, et on y trouve ce qui émeut, dans «Pan Tadeusz», la sentimentalité polonaise.

Durant des ans, les écrivains de la Pologne, quel que soit leur genre distinct, qu'ils suivent le pathétisme romantique et néo-romantique, ou bien qu'ils en fassent le contrepoint, en cultivant le grotesque ou en se baissant vers la terre-à-terre, ne laissent pas d'être de la même famille poétique. Cela se voit dans le théâtre polonais qui oscille entre ces deux pôles de l'inspiration, avec les œuvres de Blizński, de Mme Zapolska, de Perzyński, auteurs comiques et écrivains réalistes, et avec les pièces de Wyspiański, apparentées étroitement au Romantisme, avec celles de Rostworowski chrétiennement profond et pathétique à la manière de Krasiński, et avec celles de Przybyszewski à la poésie un tant soit peu satanique, luciférienne, mais quand même fidèlement polonaise.

La tempête qui a passé à travers la Pologne déchira son existence et ébranla son art. L'illustration de la tragédie polonaise de ces derniers jours, on la trouvera, sans nul doute, dans la poésie de l'avenir, poésie qui héritera, en descendant directe, de la grandeur ancestrale, du don de la vérité, et du droit de juger, d'absoudre, d'assigner, à la vie et au rêve, l'immortalité.



KSIEGARNIA POLSKA W PARYŻU

LIBRAIRIE POLONAISE A PARIS

123, Boulevard Saint-Germain, Paris (VI^e)

Tél.: DAN. 04-42 MÉTRO: Odéon lub Saint-Germain-des-Prés

POLECA KSIĄŻKI W JĘZYKU POLSKIM I FRANCUSKIM PO CENACH ŚCIŚLE KATALOGOWYCH

OBECNIE POSIADAMY NA SKŁADZIE NASTĘPUJĄCE PODRĘCZNIKI DO NAUKI OBCYCH JĘZYKÓW:

- | | |
|---|-----------|
| 1000 słów po francusku. Najłatwiejszy samouczek języka francuskiego w 34 lekcjach z 94 ilustracjami. Opracowali C. Buchholtz, dr. E. Wallenberg i M. Goryński | fr. 100.— |
| Z. FRENKIEL — Mówmy po francusku. Wyd. trzecie | fr. 24.— |
| B. HAMEL — Le français moderne à l'usage des Polonais. W oparciu kartonowej (ukazuje się w najbliższych dniach) | fr. 25.— |
| Paul HARDY — Moja metoda. Najłatwiejszy i najnowszy podręcznik do nauki języka francuskiego. W oparciu kartonowej (ukazuje się w drugiej połowie marca) | fr. 24.— |
| S. W. PIWAR — Praktyczna metoda języka angielskiego do nauki z pomocą lub bez pomocy nauczyciela | fr. 36.— |
| B. HAMEL — Podręczny słownik francusko-polski i polsko-francuski z wymową fonetyczną. | |
| Część I: francusko-polska | fr. 65.— |
| Część II: polsko-francuska | fr. 65.— |
| J. STANISŁAWSKI — Słownik angielsko-polski i polsko-angielski. Oprawa płócienna. Całość w jednym tomie | fr. 100.— |
| Prof. M. H. DZIEWICKI — Słowniczek-karzełek polsko-angielski i angielsko-polski, z wymową. W oparciu płócienną | fr. 27.— |

Ponadto posiadamy na składzie bogaty wybór słowników obcojęzycznych oraz książek ze wszystkich dziedzin. Na żądanie katalogi polskie i francuskie bezpłatnie ze wszystkich dziedzin i specjalności.

ZWRACAJ SIĘ Z PEŁNEM ZAUFANIEM DO KSIĘGARNI POLSKIEJ W PARYŻU

W najbliższych numerach «Wiadomości Polskie» drukować będą m. in.: Marji Danilewiczowej «Ponury siew» (niemieckie książki o kampanii wrześniowej), Henryka Gotliba «Wystawy w Londynie», Zbigniewa Grabowskiego «Zgon neutralności», Wacława Grzybowski «Książę», Neville'a Hendersona «Jak wybuchła wojna», Aleksandra Janty «Na francie powietrznym», Edwarda Krakowskiego «Charles Péguy, bojownik prawdy i apostoł pracy», Marjona Kukiela «Napoleon a dzień dzisiejszy», Marji Kuncewiczowej fragmenty powieści «Maz Róży» («Noc pojednania», «Śmierć Krzysztofowicza»), Jana Lechonia «Polska powieść historyczna», Bolesława Leitgera «Londyn i jego Tamiza», Stanisława Mackiewicz «Generał na czarnym i generał na białym koniu», Rafała Malczewskiego «Dzień», Bolesława Micińskiego «O nienawiści, okrucieństwie i abstrakcji», Zygmunta Nowakowskiego «Listy z Ameryki», Ksawerego Pruszyńskiego «Ich francuska wiosna», Hermann Rauschninga «Zwierzania Hitlera», Marji Winowskiej «Płomień i róża».